Nr. 23 (1276). Warszawa, 17 (4) Czerwca 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom naszym przypominamy termin odnowienia prenumeraty kwartalnej i półrocznej.

POLITYKA

Zerwanie unii.

Stało się: nad Norwegią nie panuje już król szwedzki. Ruch o własne konsulaty, kilkoletniem trwaniem swojem wprowadził w duszę norwezką tak silne pragnienie zupełnej odrębności, że dała mu się wreszcie porwać, poszła za niem i w wirach jego czuje dziś już całą romantyczną rozkosz swej niczem nieskrępowanej indywidualności dziejowej. Takim był kierunek, w którym odrazu toczyć się zaczęły wypadki, z macierzystego łona dziejów, żądzy i potrzeby, wychodzące. Nie można powiedzieć, aby Szwecya opryskliwością, uporem, nierozważnem drażnieniem przyczyniła się do nieodwróconego już wyniku: owszem, jej postawa była konstytucyjną, stała odmowa opierała się na prawie, a formy działania były równie prawne, jak i sama jego treść. O zgwałcenie unii z d. 31 lipca i 6 sierpnia 1815 r. nie można oskarżać ani króla Oskara, ani władz szwedzkich, ani nawet narodu szwedzkiego. Umowę zgwałciła, umowę zerwała, rozwiązała Norwegia; ale i ona jest bez winy. Było jej za ciasno w nałożonym przez unię kaftanie: rozerwała go więc — i to wszystko. Nie człowiek jest dla umów i zobowiązań, ale umowy i zobowiązania są dla człowieka: unia ze Szwecyą stała się właśnie dla Norwegii niewolą.

Ważny nietylko dla Skandynawii akt dziejowy dokonał się d. 7 czerwca. Przy danym nastroju psychologicznym był on nieunikniony, chwilę zaś spełnienia się już teraz wyznaczyła mu odmowa króla szwedzkiego, który nie chciał zamianować nowych ministrów na miejsce ustępujących, z Michelsenem na czele. Gdy jednomyślna prawie uchwała storthingu, wprowadziła własne konsulaty norwezkie, król zaś zatwierdzenia jej odmówił, ministrowie, uważając się za synów swego narodu, a nie za wybrańców króla szwedzkiego, złożyli swe urzędy; ale król dymisyi ich nie przyjął, i kazał im nadal pełnić obowiązki: odmówili, i Norwegia została bez rządu. Według zasad ściśle konstytucyjnych minister odpowiedzialny i król nieodpowiedzialny są nierozłącznie z sobą związani, jakby łańcuchem konieczności skuci: król nie może rządzić sam przez się, minister, gabinet ministrów musi być koniecznie, i tylko on jeden może być wyłącznie, organem władzy królewskiej. Żadne prawo nie zmusza ministrów do pozostawania u steru, gdy nie chcą; żadne też prawo nie zniewala króla wyraźnie do zamianowania nowych, gdy dawni ustępują, ale mu poniewolnie obowiązek taki narzuca duch konstytucyi. Mógł Oskar II d. 27 maja skorzystać ze swego prawa zwyczajowego niemianowania nowych ministrów, ale powinien był pamiętać, że król konstytucyjny bez ministrów — to król bez władzy, zatem niepanujący. Roztropność narzucała mu przewidywanie takiej postawy sejmu norwezkiego, w której to niezłomne przekonanie, ta niewzruszona zasada prawa konstytucyjnego — z całą bezwzględnością się wyraża.

I nie inaczej też postąpił storthing. Król nie chce zamianować ministrów konstytucyjnych, więc nie chce i konstytucyjnie rządzić; a ponieważ inaczej panować w Norwegii nie może, jak tylko przez ministrów, z chwilą więc gdy się ich pozbył, gdy ich utracił i nowymi nie zastąpił, pozbawiony organów konstytucyjnych traci zarazem władzę, którą organa te sprawować miały—przestaje panować. Nie inną jest władza króla angielskiego, który po za parlamentem wręcz nie istnieje. *King in parliament* stanowi jedyną, znaną w Anglii, uznawaną przez Anglika postać istnienia i funkcyonowania króla. Gdyby król w Anglii nie znalazł ministrów do rządzenia, przestałby panować. Nie jest to doktryna, płód czczej logistyki, ale żywo, pałająca zasada życia. W handbuchach są rozmaite teorye, stosownie do państwa, narodu, wiekowego nałogu, chwilowego odczuwania i pragnienia swobód, ostatecznie według indywidualności pisarza, w boleściach handbuch swój rodzącego. Nigdzie tak jaskrawo nie wybija się na wierzch ta prawda, że człowiek dorabia sobie teorye do własnego życia, dopasowuje zasadę do siebie, jak w prawie publicznem; nigdzie zależność osobista tak nie znieprawia katedry jak w tej dziedzinie umysłowości ludzkiej; w żadnej innej piętno czasu i miejsca nie odciska się tak głęboko i wyraźnie na indywidualności umysłowej człowieka, jak właśnie w tej. Inaczej naucza Niemiec dzisiejszy, niż nauczał Niemiec z r. 1861, inaczej Prusak niż Bawar.

Uchwałę storthingu natchnęła żądza, potrzeba chwili; ale z niej wieje, niezależny od konkretnych podniet, duch radykalnego, jedynie bezpiecznego, konstytucyonalizmu. Po długich rozprawach, zakończonych dopiero nad ranem d. 7 b. m., na posiedzeniu publicznem, zagajonem o godz. 10 zrana, po zdaniu sprawy przez Michelsena i złożeniu przezeń władzy wykonawczej wyręczającej królewską, prezes storthingu Berner wygłosił następującą uchwałę: „Ponie-

waż wszyscy członkowie ministeryum złożyli swe urzędy, ponieważ Jego Kr. Mość oświadczył, że nie może zaopatrzyć kraju w nowy rząd i ponieważ przez to konstytucyjna władza królewska funkcyonować przestała: zatem storthing nateraz upoważnia dziś ustępujących członków ministeryum do sprawowania, w charakterze Rządu Norwezkiego, władzy służącej królowi, a to zgodnie z fundamentalnem prawem Królestwa Norwezkiego i z prawami obowiązującemi i przy zastrzeżeniu takich zmian, jakie stały się koniecznemi przez sam fakt rozwiązania unii ze Szwecyą pod wspólnym królem wskutek tego, że król przestał działać jako król norwezki". Do tej uchwały dodał storthing adres: zerwanie unii przyniesie pożytek obu narodom; Norwegowie nie czują bynajmniej niechęci ani ku Szwedom, ani ku królowi szwedzkiemu: owszem, pragną żyć w kulturalnej i plemiennej ze Szwecyą łączności, a na dowód swych uczuć przyjaznych zostawiają tron norwezki dla jednego z książąt dynastyi szwedzkiej. Nad tą propozycyą namyśla się teraz i naród i król w Szwecyi. Przywracanie unii siłą byłoby szaleństwem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Depesza wysłana w przeszłym tygodniu z Waszyngtonu nie była lekkomyślną. Rzeczywiście, po naradzie przedwstępnej z posłami obu mocarstw wojujących, prezydent Roosevelt zwrócił się do obu za pośrednictwem posłów Unii i przekonawszy się, najpierw poufnie, potem półurzędowo, o ich chęci i woli zawiązania rokowań, d. 8 b. m. wystosował notę jednobrzmiącą, która wybornie odbija napięcie chwili, w całym świecie pokoju pragnącej, i pod względem stylizacyi za doskonałą uchodzić może. Wprawdzie, wojna nie „powstrzymała postępu świata": owszem, jeżeli, jak wskazuje prawda, stwierdzimy w niej pobudzający wpływ na wewnętrzne przeobrażenie się Rosyi, przedewszystkiem spełniające się w umysłach, zanim się spełni w instytucyach, rozsądek nakaże nam raczej o niej powiedzieć, że się do postępu świata przyczyniła; i to jednak jest prawdą, dotykalniejszą, cięższą, bo łzami i krwią okupioną, że ta wojna, stawszy się ideałowi postępu przez sam wybuch swój oporną, dalszy swój pochód zaznaczyła takim ogromem strat, zniszczeń, cierpień,—ofiar w ludziach, iż musiała ilościowo przynajmniej skrzywdzić postęp przez pewien bezład, zastój i niedobór ekonomiczny. Materyalne straty miał zapewne lokator Białego Domu na myśli, gdy nad wstrzymaniem postępu ubolewał.

Prosi tedy prezydent „w interesie całego świata cywilizowanego", „całej ludzkości"—„prosi usilnie" i Rosyą i Japonią, aby zawiązały między sobą rokowania i bezzwłocznie wyznaczyły do nich umocowanych. Jeżeli usługi jego będą potrzebne, zrobi wszystko, dla porozumienia się o czas i miejsce; jeżeli nie, szczęśliwym będzie, że i bez nich porozumieć się zdołano. D. 9 b. m. nad ranem przybyły i z Tokio i z Petersburga odpowiedzi przyjmujące pośrednictwo zasadnicze. Jest to ważne tak dla jednej jak dla drugiej strony. W Rosyi nawet pogrom tsu-szymski nie wzruszył był formalnego postanowienia dalszej walki; w Japonii zwycięztwa przeszłe podżegały do przyszłych: zgodzenie się na rokowania przełamało opór; usunęło przeszkodę najważniejszą. Do rana d. 14 b. m. nie miały jeszcze gazety w Warszawie telegramu o miejscu i czasie, wskazywanie bowiem Czy-fu, Tokio, Paryża—nie mogło być poważnem, a wymienianie Hagi było chwiejnem, niepewnem. Umiał za to telegraf wskazać już nawet osoby: z jednej strony p. Nelidow, z drugiej margr. Ito. Zanim się właściwe o pokój rokowania rozpoczną, wprzódy oba rządy muszą porozumieć się o zawieszenie broni; ale ten akt niby tylko wojenny, militarny, musi być zarazem i politycznym, musi dotknąć stosunków padających już w obręb samych rokowań o pokój.

Prawdopodobnie Japonia wymaga zasadniczego przyjęcia pewnych punktów, przez które przejść musiała oś przyszłego, ostatecznego traktatu; a wymaganie takie, jeśli nie zagraża układom, w każdym razie dodatni ich skutek opóźnia. W tej chwili wytykanie tych punktów przez publicystkę nie wymaga wielkich trudów; dostrzega je każdy umysł, wiedzący o co i gdzie walczono. Działania wojenne na lądzie nie mogą już mieć wpływu odwodzącego od zakończenia wojny: nic już takiego się nie stanie, coby bez większych ofiar, bez nowego wytężenia sił osiągnąć się dało, a mogło rozstrzygnąć o ostatecznym kierunku woli bądź jednej, bądź drugiej strony. Telegram z d. 13 b. m. donosi o rozpoczęciu działań większemi niż dotychczas masami. Zawieszenie broni imprezę tę uśmierzy.

W Europie sprawa marokańska wchodzi na widnokrąg jak groźba dla pokoju. Prusy podżegły sułtana morokańskiego — podobno młodzieńca nie bez głowy i energii — do przypomnienia Francyi konferencyj madryckich z r. 1880, wyszłego z nich aktu zbiorowej woli i obowiązku zeń płynącego: zwołania nowych konferencyj w nowem starciu międzynarodowem.

Zaledwie żądanie magzenu—rady przy sułtanie—doszło do Paryża, zaraz zastępca posła niemieckiego Flotow pośpieszył zawiadomić p. Rouviera, kierującego sprawami zagranicznemi, że rząd jego przychyla się do propozycyi. Ponieważ Francya na miejsce układu ogólnego z lipca 1880 r. postawiła swój umyślny z Anglią, ma więc już urzędownie przeciwko sobie Prusy, ma je tem bardziej, że p. Bülow straszy ją wojną, mówiąc jakoby przed weselem następcy tronu panował już nastrój wojenny, a dzienniki powołują się na artykuł madrycki, dobre prawo Prus popierają naciskiem na konieczność energii. Położenie jest istotnie ciężkie. Wyjście z niego dać może Francyi Anglia, ale nie zechce tego zrobić darmo. Pogodzenie się z Niemcami kosztem Marokka, t. j. rozszarpanie sułtanatu pospołu jeszcze z Anglią i Hiszpanią, byłoby ciężkim, srogim błędem już i bez tego błędnej polityki francuskiej.

Norwegia urzędownie już odpadła od Szwecyi. Jest to sprawa europejska.

W Anglii zbliża się do zachowawców coraz szybciej fatalny termin ustąpienia przed liberalnymi. Izba gmina zmieniła speakera: nowym został Lowther.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Zdobywanie koligacyi.

Tak było zawsze — prawdopodobnie od początku świata. Gdy się wykryła wina Adama i Ewy, niewątpliwie, żałowali oni, że w raju niema więcej ludzi, którzyby zjedli wszystkie owoce z drzewa zakazanego i wraz z nimi zostali razem wygnani. Pchła z pewnością nienawidzi białego prześcieradła, na którem mocno się odbija a lubi ciemną kołdrę, z której barwą się zlewa. Nóż gilotynowy bar-

Knut Hamsun.

UPIÓR.

Kilka lat dzieciństwa spędziłem u stryja na probostwie w Nordlandzie. Były to ciężkie dla mnie czasy: dużo pracy, dużo cięgów, rzadko a właściwie nigdy chwili na zabawę lub rozrywkę. Przy tak surowem traktowaniu stało się moją jedyną przyjemnością ukrywanie się, szukania samotności. Jeżeli tedy nadzwyczajnym jakimś trafem zdarzyła mi się wolna chwila, szedłem do lasu lub na cmentarz, gdzie wałęsałem się wśród krzyżów i nagrobków, marząc, rozmyślając i głośno rozmawiając sam z sobą.

Plebania miała położenie nadzwyczaj piękne, tuż nad rzeką, wpadającą do morza, szeroką rzeką o dużych kamieniach, huczącą dzień i noc, dzień i noc. Płynęła ona w jednej porze dnia ku południowi, w innej ku północy, zależało to od tego, czy był przypływ, czy też odpływ morza; ale śpiew jej monotonny brzmiał ustawicznie, a woda płynęła z jednakową szybkością latem i zimą, w którąkolwiek dążyła stronę.

Wysoko, na górze stał kościół z cmentarzem. Kościół była to stara, krzyżowa świątynia z drzewa; na cmentarzu nie było żadnej roślinności, grobów nikt nie przybierał kwiatami, ale pod samym murem rosły przepyszne krzaki malinowe, z wielkiemi, soczystemi jagodami, ssąc pokarm z tłustej ziemi umarłych. Znałem każdy grób, każdy napis i własnemi oczyma widziałem, jak nowe krzyże z upływem lat poczynały się pochylać a wreszcie pewnej, burzliwej nocy przewróciły się zupełnie.

A chociaż kwiatów nie było na grobach, latem rosła bujna trawa na całym cmentarzu. Była tak wysoka i gęsta, że często chowałem się w niej, przysłuchując się wiatrowi, szemrzącemu w tej niezwykle twardej trawie, sięgającej mi do pasa.

Gdy tak słuchałem, obróciła się czasem nagle chorągiewka na wieży kościelnej, a ten dźwięk zardzewiałego żelaza rozlegał się niby jęk po całem probostwie. Zdało się, że ten kawałek żelaza zgrzytał zębami nad innem jakiemś żelazem.

Gdy grabarz pracował, nieraz z nim rozmawiałem. Był to człowiek poważny, uśmiechał się bardzo rzadko, ale dla mnie był bardzo uprzejmy a kiedy wyrzucał ziemię z grobu, nieraz mię ostrzegał, abym się odsunął nieco, bo właśnie na łopacie ma jakiś wielki piszczel, albo wykrzywioną czaszkę trupią.

Często znajdywałem na grobach kości lub kosmyki włosów, które napowrót zakopywałem w ziemię, jak mnie pouczył grabarz. Byłem tak przyzwyczajony do tego, że nie odczuwałem najmniejszej odrazy, dotykając się tych resztek ludzkich. W jednym rogu kościoła znajdowała się kostnica, gdzie leżały porozrzucane rozmaite kości; tu przesiadywałem nieraz, wyrzynając coś z próchniejących kości lub układając różne figury na podłodze.

Ale pewnego razu znalazłem na cmentarzu ząb.

Był to przedni ząb lśniąco-biały, twardy. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wetknąłem go w kieszeń. Zamierzałem z niego coś zrobić, pilnikiem wyrznąć jakąś figurę i wyłożyć nią jaki drobiazg, których mnóstwo wyrzynałem z drzewa. Ząb wziąłem z sobą do domu.

Była to jesień, zmrok zapadał wcześnie. Za powrotem do domu, musiałem odrobić

dziej bolał pojedynczo traconego Ludwika XVI, niż w gromadzie ściętych Żyrondystów, którzy do końca śpiewali. Świadomość podobieństwa istoty i losu człowieka z wieloma innymi ogromnie zmniejsza lub nawet usuwa jego bóle. Najnieszczęśliwszym jest cierpiący sam.

Oto dlaczego pewne typy naszych polityków gwałtownie poszukują krewniaków i wszelkimi fortelami dyalektyki starają się dowieść, że zwycięzcy politycy są albo ich synami, albo też rodzonymi, lub conajmniej stryjeczno-ciotecznymi braćmi. Podpory ich rozumowań są nieraz bardzo proste, zaledwie z grubego wióra toporem ociosane. Wyrzucano lokajowi tej kategoryi, że prosząc pana o służbę, zdał się zupełnie na jego łaskę i niełaskę, nie stawiał żadnych warunków i żądań, obiecując nawet chodzić na czworakach, jeśli się to podoba rozkazodawcy. A on na to: „Alboż wy, udający dumnych, nie rozmawialiście także z panem, nie traktowaliście go grzecznie i nie staraliście się nakłonić go do ustępstw w sporze granicznym? Przecież to wszystko jedno". Nie pomoże ani dowodzenie, ani wzruszanie ramionami, lokaje powtarzać będą: to wszystko jedno. Powtarzać muszą, ażeby ich nie zapluto.

Onego czasu gromada dzieciaków zapragnęła choinki, na którejby płonęły świeczki i wisiały pierniki, jabłka i cukierki. Usłyszawszy, że grono ludzi dojrzałych chce odzyskać zabrany im las, zawołała: „Po co ta odrębność? Czy choinka nie pochodzi także z lasu? Czy na niej nie można zawiesić jeszcze innych przedmiotów? Jest to naśladowanie nas, ale naśladowanie złe".

Człowiek zadowolony nie potrzebuje towarzyszów i spólników swego szczęścia, niezadowolony pragnie ich zdobyć bodaj gwałtem. Zdaje mu się, że rozłoży na ich barki i tym sposobem zmniejszy dla swoich ciężar smutku. To też niema pewniejszego dowodu wewnętrznej zgryzoty ludzi nad ich zabiegi o pomnożenie około siebie przyjaciół, spółuczestników, krewniaków lub naśladowców. A ten dowód zbyt często występuje w autobiografiach dwu polskich stronnictw i fabrykowany jest zbyt sztucznie, ażeby można było wątpić, że ich sumienie toczy jakiś robak. Partya, która powiada: „Jestem sama swoją matką a wyprowadziła mnie na świat potrzeba społeczna; żadnej grupy nie naśladuję, z żadną nie łączy mnie powinowactwo, żadnej nie zastępuję i przez żadną zastąpić się nie dam"— taka partya czuje w sobie własną siłę i ma własne cele.

Pewien narodowy demokrata mówił mi wczoraj: „W dziedzinie dążeń patryotycznych jesteśmy tylko my a inne grupy są tylko naszymi pasożytami". „To tak, jak gruba kiszka — odrzekłem. — Tylko ona podtrzymuje organizm, a inne narządy— mózg, serce, śledziona — to jej pasożyty". Mój znajomy zaprotestował przeciwko takiemu porównaniu, chociaż przyznał, że narodowa demokracya — to główny kolektor naszego życia politycznego, na co od biedy i ja bym się zgodził. A nawet więcej, bo gdyby tego koniecznie żądano, upierałbym się, ażeby ją nazwano całą kanalizacyą. Niedawny artykuł *Gońca* przekonał, że główny kolektor przyjmuje rynsztokowe dopływy.

Czy wiecie, czytelnicy, w jakiem położeniu znajdujecie się, słuchając wrzawy naszych olbrzymów politycznych? W położeniu ludzi, którzy śród ciszy nocnej słyszą harce myszy; trudno im uwierzyć, aby tak małe zwierzątka robiły tak wielki hałas; nieraz zdaje się, że to nie drobne nóżki, ale ogromne łapy tak strasznie tupoczą i nie drobne ząbki, ale ogromne kły tak strasznie gryzą. Zapaliwszy świecę, przekonywamy się, że to jednak tylko myszy. Ach, żeby coprędzej był dzień albo przynajmniej paliła się ciągle świeca!.. *Go—on.*

Rozkwit duszy.

Powolnie sączące się szare dni życia zacierają wszelkie kontrasty, tłumią dysonanse, wszystkie siły żywotne osnuwają bezbarwną pajęczyną, znoszącą rozmaite nierówności. Czasem tylko po długich latach tej codzienności nagle jasny promień słońca oświeci raptownie polanę, stajemy wtedy zadziwieni, że nie wszystko jest tak szare i jednostajne, zadziwieni, że życie jest tak piękne i pociągające. Są to chwile, kiedy suggestyonowana harmonia ogólna rozpryskuje się, kiedy wzbiera walka kontrastów, kiedy każdy chce żyć własnem, silnem życiem. I naniesiony przez długoletnie powolne sączenie się wody muł szarzyzny fale rwącego potoku zmywają i ciągną wszystko, co żyje, ku głębiom, ku dali. Kto jest zbyt słaby, aby utrzymać się na powierzchni, tego fala wyrzuca na brzeg, jako nieużytek, jako martwy rupieć, a sama płynie dalej, omijając małych, pociągając tęskniących i tą tęsknotą silnych. W chwilach takich dusza ludzka, jako kwiat czarodziejski, rozkwita całem swem pięknem, zrzucając sieć pajęczą szarej martwoty. W chwilach takich czucia głębokie odzyskują siłę głosu i poczynają wieść walkę wewnętrzną z tem, co życie naniosło, co porodziły długie dni męki i niemocy.

I zmartwychwstaje odśrodkowy pęd energii ducha ludzkiego. W takiej chwili z głębi odrodzonego ducha wyrywa się z płaczem i jękiem, z bólem i upojeniem okrzyk: Nienawidźmy! Nienawidźmy mroku! Czarna noc wysysa krew, wysysa zdolność istnienia, gnoi wszelkie porywy, dławi okrzyk radości i wesela. Ponure milczenie przerywa od czasu do czasu krzyk bólu, potem krakanie kruków. Nienawidźmy mroku! On ciężką zasłonę kładzie na ludzkie oczy. Zatracają one wszelką możność patrzenia i dojrzenia, zatracają niepokój i pragnienie boju i stają się, jako ślimaki, snujące się po ziemi. Nienawidźmy mroku! On duszę ludzką trzyma w więziennej ciemnicy, tamuje jej rozwój i krwawo dusi wszelką chęć wyzwolenia. Nienawidźmy mroku! On rodzi wszelką mękę i wszelką niedolę. Kędyś za górami, za lasami płonie wielka, świetlana jasność, a my z otchłani ku niej wyciągamy dłonie. Tęsknotę naszą łamie siła nocy, i mrok wielkie zwycięstwo ma nad duszami naszemi.

Nienawidźmy ciszy! Cisza obcą jest wszelkiej twórczości, bo życie — to ruch. Cisza układa wszystkich do snu, trwoży ich marami groźnemi, pozbawia rozmachu i zdolności czuwania. Rozłożyli się na polu, każdy legł, jak mu najwygodniej, i zda się, że to trupy po jakiejś wielkiej bitwie. A tu raptownie nadjechał zdala zastęp zbrojny, wołając wielkim głosem: budźcie się! i objeżdża szeregi. Niektórych budzi ten okrzyk wiary i zapału. Lecz większość śpi. Naprożno prawią im o krwawej walce, o okropnościach dnia, naprożno przypominają ich sponiewieraną godność i hańbę, jaka na nich ciąży. Ospali, ziewają i przewracają się na drugi bok. Nienawidźmy ciszy! Nie jest to chwila, kiedy przed burzą zamilka wszystko, i słychać tylko daleki odgłos grzmotu. Jest to długi, zwierzęcy sen, bez marzeń i rojeń.

Nienawidźmy słabości! Mrok i cisza dziwnie wzmacniają wszelkie męty ducha. Ciągłe szamotanie się w ciemności, ciągłe mrożenie wszelkich gorętszych pożądań przytłacza kamieniem apatyi tych, którzy dobrowolnie nie chcą popełnić samobójstwa ducha. Słabi jesteśmy wobec ogromu ży-

dużo innych rzeczy, upłynęło też kilka godzin, zanim mogłem iść do izby czeladnej i zabrać się do pracy nad zębem. Tymczasem wszedł księżyc, była to druga kwadra.

W izbie się nie świeciło, byłem w niej sam jeden. Niewolno mi było zaświecić lampy przed przyjściem parobków, ale mogłem posłużyć się światłem od wentyla pieca kaflowego, jeżeli w nim płonął żywy ogień. Poszedłem więc do drwalni, po drzewo.

W drwalni było ciemno.

Kiedy macałem, nabierając polan, uczułem lekkie uderzenie w głowę, jak gdyby jednym palcem.

Odwróciłem się szybko, ale nic nie dojrzałem.

Macałem w koło rękami, lecz na nic nie natrafiłem.

Wreszcie zapytałem głośno:—Kto to?— ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Byłem z gołą głową, dotknąłem na niej miejsca, gdzie padło owo uderzenie, i poczułem coś lodowato-zimnego, natychmiast cofnąłem rękę. To coś niesłychanego!— pomyślałem. Znów pomacałem głowę, to coś zimnego zniknęło.

Zacząłem nad tem rozmyślać:—Cóż by to mogło być zimnego, co spadło z powały, i uderzyło mię w głowę?

Nabrałem naręcze drzewa, wróciłem do izby czeladnej, rozpaliłem w piecu i czekałem, aż blaskiem się rozświeci.

Wówczas wyjąłem z kieszeni ząb i pilnik.

Wtem usłyszałem pukanie w okno.

Spojrzałem. Za oknem, z twarzą przyciśniętą do szyby, stał jakiś człowiek. Był mi zgoła obcy, nie znałem go wcale a przecież znałem całą parafię. Miał rudą, okrągłą brodę, czerwoną, wełnianą, chustkę na szyi i kapelusz na głowie. I co dziwne, że wtedy nic przyszło mi na myśl, dopiero później mnie uderzyło — jak mogła mi się ta głowa w ciemności ukazać tak wyraźnie i w dodatku z tej strony domu, gdzie nawet nie świecił księżyc! Widziałem twarz z przerażającą wyrazistością — była blada, niemal biała, oczy miała we mnie wlepione.

Upłynęła minuta.

Wtem ów człowiek zaczął się śmiać.

Nie był to śmiech głośny, wibrujący, lecz usta otwarły się szeroko, a oczy dalej wpatrywały się we mnie osłupiałe: śmiał się.

Upuściłem to, co miałem w ręku, a mróz mnie przeszedł od stóp do głów.

W ogromnej gębie twarzy, śmiejącej się za szybą, ujrzałem nagle czarny otwór w szeregu białych zębów: brakło jednego.

Siedziałem na miejscu i patrzyłem zdrętwiały. Znowu upłynęła minuta. Twarz poczęła nabierać kolorów, zzieleniała mocno, poczem stała się ciemno-czerwona, tylko uśmiech pozostał niezmieniony. Nie straciłem przytomności, widziałem wszystko na około siebie; ogień świecił dość jasno poprzez otwór pieca, rzucając słaby blask na drugą ścianę, gdzie stała drabina. Słyszałem też z izby sąsiedniej tykotanie zegara ściennego. Tak jasno zdawałem sobie sprawę ze wszystkiego, że nawet spostrzegłem, iż denko kapelusza, który miał na głowie ów człowiek, było czarne, zniszczone a rondo zielonawe.

Nagle człowiek spuścił głowę, spuszczał ją powoli, aż wreszcie znalazła się poniżej okna: jak gdyby się zapadał w ziemię. I zniknął mi z oczu.

Przerażenie moje było straszne, począłem dygotać. Po podłodze jąłem szukać owego zęba, jednocześnie nie mogłem odwrócić oczu od okna, czy też nie zjawi się znowu.

Znalazłszy ząb, chciałem go natychmiast odnieść napowrót na cmentarz, ale nie mia-

cia i pierwszy powiew wiosny przyprawia nas o zawrót głowy. Nienawidźmy własnej słabości! Duch mocny musi pokonać gorycz wątpienia, wyzwolić się i posiąść siłę, która mu pozwoli na najwyższy przejaw samodzielności — wspólne dążenie ku wspólnym celom.

Nienawidźmy apatyi! Ona przytępia ból, przejmuje lękiem i każe — patrzeć i przysłuchiwać się. Po za bierną rolę widzów nie puszcza nas niemoc duchowa. Długie noce pędzimy w wyczekiwaniu jakiegoś cudu, a nie możemy w piersi swej znaleźć potęgi cudotwórczej. Zobojętnienie gasi wszelkie upojenia, zabija tęsknotę i mrozi zwątpieniem najwznioślejsze oczekiwania. Zobojętnienie pochyla ku ziemi czoła i gnie karki. Ono nie łamie, lecz—zgina.

Nienawidźmy! Nienawiść zła to wielka siła wszechistnienia. Ona burzy i druzgocze, ona budzi i wskrzesza; daje moc wytrwania, daje płomienną żądzę walki, daje hart ducha i siłę cierpienia. Nienawiść zła to potęga twórcza, obalająca wszystko, co stare, co dławiące; nienawiść to młot stalowy, kujący przyszłość; nienawiść to iskra życia, to hymn istnienia, to pieśń zemsty i zapału. Święty ogień nie zamrze, nie zagaśnie nieśmiertelny znicz serc ludzkich. Nienawiść zła jest wieczna, jak wiecznym jest głód, ukochanie i dążenie nad poziomy. Ona nie daje usnąć duchom czuwającym, nie pozwala opuścić rąk i patrzeć bezmyślnie. Nienawiść zła pobudza do czynu. Wzbiera, jak lawa w przygasłym wulkanie. Wokoło cicho, słychać nawet szelest muchy, przelatującej z kwiatka na kwiatek,—aż raptownie, po długim łoskocie—następuje wybuch. Chmury dymu pokrywają ziemię, rozwarta paszczęka przepaści wyrzuca skały całe głazów i ogniem ziejąca lawa płynie, niosąc zniszczenie i postrach. Tłumione uczucie zyskuje na sile napięcia i skoro następuje najwyższy moment, nikt go nie stłumi, nikt nie zdławi. Nienawiść zła jest świętem uczuciem, które było od wieków echem rosnącego skarbu energii duchowej. Nienawiść taka oczyszcza duszę z wszelkiego brudu, jeżeli jest ona silną, wielką i gorącą.

Nienawiść zła jest świętem uczuciem. A więc z siłą huraganu, z wytrzymałością pielgrzymów, z żądzą silnych, z wiarą czujnych, z tęsknotą spragnionych — nienawidźmy wszelkie zło. Wykrzeszmy z serc naszych tę iskrę nieśmiertelności, rozpalmy pochodnie i zrzućmy tę szatę, która nas dławi i męczy. Nienawidźmy! *br.*

Pod berłem pruskiem.

Polskie instytucye finansowe.—Projekt Związku Spółek zarobkowych.—Proces „Banku ludowego" w Bytomiu.—Z ruchu przedwyborczego na Śląsku i w Prusach Zachodnich.—Nowy projekt hakatystów.

Niemiecka, pogardliwa opinia o „Polnische Wirtschaft" powoli staje się zupełnym anachronizmem wobec gospodarki finansowej polskich instytucyj oszczędnościowych i kredytowych w Wielkopolsce. Te ostatnie bowiem składają coraz więcej dowodów swej sprężystości i sprawności. Działalność polskich instytucyj finansowych w Poznańskiem poczyna służyć już za wzór zagranicy. Przed dwoma laty na kongresie ekonomicznym w Brukseli przewodniczący międzynarodowego związku spółek z siedliskiem w Londynie—p. H. Wood zaliczył spółki poznańskie do najlepiej zorganizowanych i najlepiej rozwijających się na lądzie stałym Europy. Gdy na kongresie związku spółek w Budapeszcie zawakowało miejsce reprezentanta w wydziale centralnym dla państwa niemieckiego, wydział wykonawczy w Londynie przedstawił na nie d-ra Kusztelaka — dyrektora poznańskiego „Banku Związku Spółek Zarobkowych". To zaszczytne odznaczenie przewodniczącego polskiej instytucyi finansowej bardzo się nie podobało hakatystom, gdyż wydało świadectwo dojrzałości ekonomicznej społeczeństwu, którego gospodarkę Niemcy przyzwyczaili się byli traktować z głęboką pogardą.

Świeżo wyszło sprawozdanie z czynności „Banku Związku Spółek Zarobkowych" za r. 1904. Do „Związku" należy obecnie sto dwadzieścia spółek zarobkowych—t. j. współdzielczych stowarzyszeń kredytowych, a kapitał własny „Banku" i ulokowany w nim przez spółki wynosi przeszło 60 milionów marek. Od r. 1900-go—t. j. od chwili, gdy kapitał akcyjny „Banku" powiększono na milion marek, rozpoczęła się epoka rozkwitu tej instytucyi. Kiedy bowiem obrót „Banku" w r. 1900 wynosił 4¼ miliona marek, to w r. 1904 przenosił on już 14¼ mil. marek. Liczba członków spółek zarobkowych wzrosła od r. 1872-go z 7.600 na 62.135.

Świetnie rozwijające się polskie instytucye finansowe posiadają obecnie zupełne zaufanie społeczeństwa własnego, które coraz bardziej usuwa się od popierania niemieckich zakładów oszczędnościowych i kredytowych. Zwłaszcza podczas słynnych krachów bankowych w Niemieczech przed paru laty sporo kapitałów polskich przeszło do polskich instytucyj finansowych, co naturalnie nie mogło być mile widziane przez finansistów niemieckich. To też ci ostatni, wraz ze stojącą na ich usługach prasą hakatystyczną, pilnie śledzą działalność polskich banków i spółek, ażeby skorzystać ze sposobności i poderwać ich znaczenie. Władze rządowe również skrupulatnie przestrzegają, aby działalność polskich spółek i banków nie pozwoliła sobie na przekroczenie obowiązującej je ustawy. To też instytucye te muszą się mieć stale na baczności, gdyż zwarty obóz niemiecki zawsze gotów jest do zadania im ciosu.

Takim ciosem miał być właśnie proces, wytoczony przez prokuratora kierownikom „Banku ludowego" w Bytomiu.

Za przykładem Poznańskiego i Prus Zachodnich, gdzie polskie spółki zarobkowe poczęły się rozwijać coraz piękniej, poszedł i Śląsk. Pracę na Górnym Śląsku trzeba było zaczynać od początku, gdyż jeszcze przed 10 laty polskich instytucyj finansowych tam wcale nie było, a lud polski lokował swe oszczędności w niemieckich bankach, popierających germanizacyę. Obecnie wszystkie miasta górnośląskie posiadają własne, polskie „banki ludowe", a najstarszym i najzasobniejszym z nich jest „bank ludowy" w Bytomiu, założony przez p. Napieralskiego, wydawcę „Katolika". Po 10-letnim istnieniu ma kilka tysięcy członków, pięć milionów marek depozytów, 400,000 marek funduszów rezerwowych i tyleż udziałów. Cały ten kapitał został wydarty rozmaitym niemieckim i hakatystycznych „Sparkerom".

Prowadzony bardzo sumiennie i ostrożnie „Bank ludowy" w Bytomiu dał się jednak wywieść w pole niejakiemu Wygarzowi — przedsiębiorcy, który, uzyskawszy w „banku" znaczny kredyt wekslowy i hipoteczny, zbankrutował. Pokazało się, że i jego żyranci nie posiadają należytej odpowiedzialności finansowej, wskutek czego „Bank ludowy" stracił kilkadziesiąt tysięcy marek.

Prokuratorya państwa wytoczyła śledztwo na mocy ustawy o spółkach w celu wykrycia nieprawidłowości, jakich dopuścić się mieli kierownicy „Banku ludowego". Na wieść o wytoczonem śledztwie prasa hakatystyczna podniosła straszny krzyk, uderzając na wszystkie polskie instytucye finansowe. Tłomaczyła ona publiczności, że

---

łem odwagi. Siedziałem dalej sam, nie śmiąc się ruszyć. Posłyszałem kroki na podwórzu, zdawało mi się, że to któraś z dziewek kłapie trepkami, ale nie miałem siły zawołać na nią—i kroki się oddaliły.

Upłynęła cała wieczność. Ogień poczynał gasnąć, a dla mnie nie zjawiał się ratunek. Zacisnąłem tedy zęby i wstałem, otworzyłem drzwi i tyłem wyszedłem z izby czeladnej, wciąż patrząc w okno, przy którem stał ów człowiek. Gdym się znalazł na podwórzu, pobiegłem do stajni, gdzie spodziewałem się namówić jakiegoś parobczaka, by ze mną poszedł na cmentarz.

Ale w stajni nie zastałem nikogo.

Pod gołem niebem przybyło mi jednak odwagi i postanowiłem iść sam na cmentarz. W ten sposób unikałem zwierzania się a mógłbym się dostać w szpony stryja za całą tę historyę.

Poszedłem więc sam na górę.

Ząb niosłem w chusteczce.

Na górze, pod bramą cmentarza przystanąłem—odwaga znów mnie odstąpiła. Słyszałem niemilknący nigdy szum rzeki, zresztą panowała cisza. Nie było drzwi w bramie cmentarnej, tylko wykrój, którym się wchodziło. Wystraszony stanąłem na jednym końcu łuku i wysunąłem ostrożnie głowę, aby się rozejrzeć, czy można odważyć się dalej.

Wtem nagle kolana ugięły się podemną: w oddaleniu od bramy, wpośród grobów stał mój człowiek w kapeluszu. Twarz miał znów białą, a zwracał ją ku mnie i jednocześnie wskazywał przed siebie, dalej, w głąb cmentarza.

Uważałem to za rozkaz, lecz nie miałem odwagi iść. Leżałem długo i patrzyłem na człowieka, modliłem się do niego, a on stał bez ruchu, milczący.

Wtem zaszło coś, co ożywiło moją odwagę, a mianowicie posłyszałem jednego z naszych parobków, jak kręcił się i robił coś w okolicy stajni. Ten znak życia w pobliżu sprawił, żem się podniósł. Człowiek począł oddalać się pomaleńku, nie szedł, lecz przesuwał się po grobach, ustawicznie coś wskazując. Wszedłem za bramę—człowiek wzywał mnie dalej. Uszedłem kilka kroków i znów przystanąłem—nie mogłem. Drżącą ręką wyjąłem biały ząb z chusteczki i z całej siły rzuciłem go na środek cmentarza. W tej chwili obróciła się chorągiewka na wieży kościelnej a jej zgrzytliwy głos przeniknął mnie nawskroś. Wybiegłem przez bramę, puściłem się i wpadłem do domu; kiedym stanął w kuchni, mówiono mi, że twarz miałem białą, jak śnieg...

Upłynęło od tego czasu wiele lat, a ja pamiętam wszystko. Widzę się na kolanach pod bramą cmentarną, wpatrującego się w człowieka z rudą brodą.

Wieku jego nie mogę podać nawet w przybliżeniu. Mógł mieć lat dwadzieścia, mógł mieć i czterdzieści. Ponieważ to nie było moje ostatnie z nim spotkanie, miałem więc sposobność zastanowić się nad tą kwestyą—ale jeszcze teraz nie umiałbym nic powiedzieć o jego wieku.

Niejednego wieczora i niejednej nocy ten człowiek zjawiał się przedemną. Ukazywał mi się roześmiany, z szeroko otwartemi ustami, w których brakło jednego zęba i znikał natychmiast. Spadł śnieg, nie mogłem więc pójść na cmentarz, aby zakopać ząb w ziemi. A człowiek przychodził i przychodził przez całą zimę, lecz z coraz większemi przerwami. Mój strach przed nim osłabł; uczynił mi jednak życie nieszczęśliwem, nawet bardzo nieszczęśliwem; pocieszało mnie tylko to, że każdej chwili mogłem skończyć swoją mękę, rzucając się do rzeki podczas jej przypływu.

Nadeszła wiosna—człowiek zniknął zupełnie.

lokowanie pieniędzy w tych ostatnich jest lekkomyślnością, gdyż nie dają one żadnej gwarancyi, że kapitał nie zginie. Chodziło tu o wywołanie „runu" przeciwko polskim bankom i innym instytucyom finansowym i doprowadzenie ich do upadku.

Plan ten jednakże się nie udał, gdyż pokazało się, że ludność polska ma już głęboko ugruntowane zaufanie do swoich instytucyj finansowych — tem bardziej, że bardzo prędko stwierdzono, iż członkowie „Banku ludowego" nie nie stracą wskutek bankructwa Wygarza — albowiem „Bank" pokrył straty częściowo z funduszu rezerwowego, częścią zaś z nadzwyczajnego zysku w ciągu lat ostatnich. Pomimo więc strat mógł w dalszym ciągu wypłacać dywidendę w wysokości 6—7%.

Proces jednakże został wytoczony. Na ławie oskarżonych zasiedli dyrektor, kasyer i kontroler „Banku ludowego" oraz trzech członków rady nadzorczej. Akt oskarżenia zarzucał im rozmaite nieprawidłowości w manipulacyach finansowych. Prokuratorya nie szczędziła bardzo gruntownych wysiłków, ażeby zgromadzić materyał dowodowy, który zapełnił kilkadziesiąt grubych tomów. Powołano 100 świadków i 14 rzeczoznawców — dyrektorów rozmaitych banków, rewizorów ksiąg, kierowników spółek niemieckich i t. d. z całej niemal Rzeszy. Proces trwał siedm dni. Prokuratorya starała się wykazać, że urzędnicy „banku" niedostatecznie odpisywali poniesione straty, że podawali jako czysty zysk kwotę, która nim jeszcze nie była, że niewłaściwie zapisywali niektóre procenty i t. d. Z pomiędzy rzeczoznawców jednak zaledwie kilku (i to wyłącznie miejscowi, śląscy konkurenci „Banku ludowego") wydało opinię niekorzystną dla oskarżonych. Reszta — Niemcy — stwierdziła, że błędy popełniane przez oskarżonych, posiadały charakter wyłącznie techniczny. Błędy takie—ich zdaniem—zdarzają się w bankach niemieckich, ale na pewność kapitałów umieszczonych w nich, wpływu ujemnego wywrzeć nie mogą. W kilku wypadkach okazało się, że prokurator fałszywie interpelował ustawy spółek. Rzeczoznawcy stwierdzili, że oskarżeni z reguły postępowali zupełnie prawidłowo, nikogo nie narażając na straty, że „Bank ludowy" był prowadzony jak najuczciwiej i wprost wzorowo, że zresztą mógł wytrzymać największy „run", ponieważ posiadał kredyt otwarty w poznańskim „Banku Związku Spółek Zarobkowych".

Pomimo takiego orzeczenia biegłych prokurator zażądał od trybunału skazania oskarżonych na kary więzienia i grzywny: dyrektora Szaflika na 6 miesięcy więzienia, kontrolera Stecława na 3 miesiące i 400 marek grzywny, kasyera d-ra Skowrońskiego na 120 marek, zaś członków rady nadzorczej — Napieralskiego na 2000 marek d-ra Hankego na 900 m., a adwokata d-ra Czaplę na 4 miesiące więzienia i 500 m. kary. Trybunał, coprawda, nie przychylił się do żądania prokuratora, ale sprawiedliwości" pruskiej musiało się przecie stać zadość. Skazano tedy dyrektora Szaflika na 6 tygodni więzienia, a resztę oskarżonych na grzywny od 300 do 1200 marek. Prasa hakatystyczna będzie więc miała materyał do agitowania przeciwko polskim instytucyom finansowym—z jakim skutkiem—o tem nie można wątpić, gdyż te ostatnie zbyt trwałem cieszą się uznaniem.

„Polski komitet wyborczy dla Górnego Śląska" postawił ponownie kandydaturę p. Korfantego w okręgu katowicko-zabrskim. Decyzya ta wywołała najrozmaitsze komentarze w prasie śląskiej i poznańskiej. Najcharakterystyczniejszem jest stanowisko „Katolika" i jego wydawcy p. Napieralskiego. Ten ostatni jest członkiem „Polskiego komitetu wyborczego", jako redaktor, z głosem doradczym. Sądzono więc, że postanowienie „Komitetu" obowiązuje i jego. Tymczasem p. Napieralski wręcz oświadcza, że kandydatury p. Korfantego popierać nie myśli.

Co do innych pism górnośląskich, to tak „Górnoślązak", jak „Głos śląski" p. Siemianowskiego, nie mówiąc już o organie p. Korfantego—„Polaku", zobowiązały się do popierania kandydata „Komitetu wyborczego". „Gazeta Katolicka" naturalnie występuje przeciwko tej kandydaturze, choć jeszcze niewiadomo, kogo postawią centrowcy. W każdym razie położenie p. Korfantego nie jest pomyślne; tembardziej, że przy obecnych wyborach nie ma mowy, aby socyaliści oddali nań swe głosy w ściślejszem głosowaniu, jak to było w roku 1903-im, kiedy p. Korfanty został wybrany jedynie skutkiem poparcia go przez P. P. S.

Wybory w okręgu toruńskim nie przedstawiają się obecnie tak pomyślnie dla Polaków, jak to było w r. 1903-im. P. Brejski, którego mandat został świeżo unieważniony, nie myśli już kandydować. Zresztą p. Brejski jest dla władz wyborczych zachodnio-pruskich solą w oku, jako ludowiec, gdy rolę kierowniczą w komitecie wyborczym odgrywają konserwatyści i księża. Na prowadzenie agitacyi przedwyborczej p. Brejski nie ma środków, a komitet wyborczy konserwatywno-klerykalny woli, zdaje się, stracić okrąg, byle nie dopuścić do wyboru przeciwnika politycznego. To też „Gazeta Toruńska", wydawana przez p. Brejskiego, z goryczą pisze o machinacyach klerykałów, którzy go od początku zwalczali, pomimo że był kandydatem zatwierdzonym przez naczelną władzę wyborczą. Klerykali starali się zmusić p. Brejskiego do zrzeczenia się kandydatury, przyprzyczem grozili secesyą na wypadek gdyby komitet wyborczy tę kandydaturę zatwierdził. Szlachta zgodziła się na kandydaturę p. Brejskiego, ale jedynie dla tego, że nie wątpiła, iż wybranym nie zostanie. Działalność poselska p. Brejskiego, który w „Kole Polskiem" reprezentował skrajną lewicę, ostatecznie zwracała do niego większość konserwatywno - klerykalną. „Gazeta Toruńska" proponuje jako posła na sejm pruski nauczyciela gimnazyalnego, Schroedera, zobowiązując się zresztą do popierania wszelkiej legalnej kandydatury, zatwierdzonej przez polską władzę wyborczą. Zachodzi obawa, że polski komitet postawi trzeciego kandydata, którego socyaliści (rozstrzygający w wyborach ściślejszych) nie będą mogli poprzeć. W takim wypadku zwyciężyłby Niemiec, gdyż o wyborze kandydata socyalistycznego—Fr. Morawskiego z Katowic — niema mowy.

Wybory posła sejmowego w okręgu opolskim na Górnym Śląsku zajmują opinię publiczną w tej samej mierze, co i wybory do parlamentu w dwóch, wyżej wzmiankowanych okręgach. Okrąg opolski należał do tych punktów Górnego Śląska, gdzie lud polski najwcześniej wystąpił przeciw centrum. Ale ta walka z centrum przybrała tam formy nie dążenia do zwykłego wyemancypowania się z pod przewagi centrum, tylko do zapewnienia sobie wpływu na wybór osoby kandydata centrowego. W Opolskiem chodziło o to, aby kandydat był Polakiem-centrowcem, gdy Niemcy-centrowcy zawsze chcieli mieć posłem Niemca, pomimo że ludność polska w tym okręgu stanowi przygniatającą większość. Wybory do sejmu pruskiego przeprowadzane są nie na podstawie powszechnego głosowania, lecz według osławionego systemu trójklasowego, wobec czego sama liczebna przewaga ludności polskiej nie wystarcza do zwycięztwa.

Obecnie w okręgu opolskim stanął kompromis. Centrowcy postawili kandydaturę księdza Abramskiego — centrowca pochodzenia polskiego. Na tegoż samego kandydata zgodzili się i Polacy na posiedzeniu swego komitetu. W ten sposób znowu

---

Zupełnie? Nie, ale na lato. Następnej zimy znów się pojawił. Raz mi się tylko ukazał i na długi czas zniknął.

W trzy lata po mojem z nim spotkaniu wyjechałem z Nordlandu i przez rok byłem nieobecny. Za powrotem zostałem bierzmowany i stałem się, przynajmniej w mojem rozumieniu, osobą dorosłą i dojrzałą. Nie mieszkałem już u stryja na plebanii, lecz w domu z ojcem i matką.

Pewnego wieczora jesiennego, właśnie gdy położyłem się spać, jakaś zimna ręka dotknęła mojego czoła. Otworzyłem oczy i ujrzałem mojego człowieka. Siedział u mnie na łóżku i wpatrywał się we mnie. Spałem nie sam w pokoju, lecz z rodzeństwem, ale nie budziłem nikogo. Poczuwszy zimny ucisk dłoni na czole, zrzuciłem ową rękę, mówiąc:—Odejdź—pytali mi się potem bracia, do kogo to powiedziałem. Człowiek siedział czas jakiś spokojnie, po chwili zaczął kołysać się naprzód i wstecz górną częścią ciała. Wśród tego rósł i rósł coraz bardziej, aż wreszcie sięgał niemal pułapu, a gdy już nie mógł dalej się wzpnosić, wstał, odszedł cichutko od mojego łóżka po podłodze aż ku piecowi kaflowemu, w którym zniknął. Przez cały czas śledziłem go oczyma.

Nigdy nie znajdował się tak blizko mnie; widziałem dokładnie jego twarz. Wzrok jego był przygasły, patrzył, ale jak gdyby po za mnie, nawskroś mnie, w dal, w świat inny. Zauważyłem też, że oczy miał szare. Nie drgnął twarzą i nie śmiał się. Kiedy strącałem jego rękę ze swojego czoła, mówiąc: „Odejdź", cofnął ją zwolna. Przez cały czas, siedząc na mojem łóżku, ani mrugnął okiem...

W kilka miesięcy później, gdy nadeszła zima, wyjechałem znowu z domu i bawiłem jakiś czas u kupca W., gdzie byłem pomocnikiem w magazynie i w biurze. Tu spotkałem mojego człowieka po raz ostatni.

Jednego wieczora chodzę sobie po swoim pokoju, zapalam lampę i rozbieram się. Chcąc, jak zwykle, wystawić służącej obuwie do czyszczenia, biorę je w rękę i otwieram drzwi.

A tu na korytarzu, tuż przedemną, stoi rudobrody człowiek.

Wiem, że w przyległym pokoju znajdują się ludzie, więc się nie boję. Mruknąłem głośno:—Znowuś tu!—Po krótkiej chwili człowiek otwiera znów szeroko usta i śmieje się. Nie zrobiło to już tak strasznego na mnie wrażenia i przypatrzyłem mu się uważniej: brakujący ząb znalazł się w swojem miejscu.

Może go ktoś inny zakopał w ziemi—lub może przez te lata zdążył spróchnieć, zamienić się w proch i jako taki zmieszał się z resztą prochu, od którego go oddzielono! —Bóg raczy wiedzieć...

Upiór zamknął znowu usta, odwrócił się i zeszedł ze schodów, gdzie znikł na samym dole.

Odtąd nie widziałem go, a upłynęło przecież dużo, dużo lat...

Ten człowiek, ten rudobrody poseł z krainy śmierci przez całą tę nieopisaną okropność uczynił mi dziecięce lata bardzo przykrymi. Miewałem odtąd niejedną wizyę, niejedno spotkanie z czemś niewytłomaczonem, ale nic mnie tak głęboko nie poruszyło, jak ten upiór.

A jednak może nietylko szkodę mi wyrządził... przychodziło mi to na myśl nieraz. Być może, iż on był pierwszym powodem, że nauczyłem się zaciskać zęby i hartować się—w późniejszem życiu przydało mi się to nieraz.

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

głosami polskimi zwycięży przedstawiciel partyi — w najlepszym razie obojętnej dla interesów ludu polskiego, w większości wypadków wrogiej. Komitet polski okręgu opolskiego uzyskał od „Polskiego komitetu wyborczego" na Górnym Śląsku swobodę działania i przyzwolenie na poparcie kandydata centrowców. Przyzwolenie to dotyczy jedynie najbliższych wyborów i stanowi „wyjątek". Nikt jednak nie zaręczy, że takie „wyjątki" będą się mnożyły i powtarzały coraz częściej, gdyż po ostrej kampanii pod hasłem „precz z centrum, zapoczętej przed kilku laty, dziś daje się odczuwać chęć pogodzenia się z centrowcami na całej linii. Koszta tej zgody naturalnie zapłaci lud polski, którego przywódcy narodowo-demokratyczni i nienarodowo-demokratyczni przyszli do przekonania, że spokojniej robi się karyerę polityczną w zgodzie z klerykałami niemieckimi, aniżeli tocząc z nimi walkę.

Hakatyści wpadają na coraz to nowe pomysły szykanowania ludności polskiej. Oto np. rektor miejscowej szkoły poznańskiej dla chłopców, utrzymywanej z funduszów miasta, postawił za warunek przyjęcia uczniów-Polaków znajomość języka niemieckiego. W ten sposób chciał zmusić rodziców Polaków do tego, aby już w domu uczyli dzieci języka niemieckiego. W sprawie tej wniósł radny Kużaj interpelacyę w radzie miejskiej, wskutek czego magistrat zawiadomił owego rektora, że jego pretensye są zupełnie bezpodstawne. W odpowiedzi na to zarządzenie magistratu poznańska grupa miejscowa „Ostmarkvereinu" przyjęła na wniosek nauczyciela tejże szkoły—niejakiego Somrana rezolucyę w duchu owego zarządzenia. P. Somran domaga się, aby wszystkim tym dzieciom polskim, które w domu nie nauczyły się wcale po niemiecku, odmówiono zupełnie przejścia do wyższej szkoły ludowej i aby dla tych dzieci utworzono specyalne kursa, gdzieby sie mogły dostatecznie nauczyć po niemiecku. P. Somran wychodzi ze stanowiska, że dzieciom niemieckim dzieje się krzywda, gdyż nauczyciele za dużo uwagi zwracają na dzieci polskie, nieobznajmione dostatecznie z językiem wykładowym. Hakatyści mają zamiar rozwinąć agitacyę, aby rezolucya ta została wcielona w życie w drodze zarządzenia ministeryalnego.

Pośrednik.

MIĘDZYNARODOWY

Kongres wolnej myśli

w Paryżu.

Pierwszych dni września r. b. (4, 5 i 6-go) ma się odbyć w Paryżu wielki, międzynarodowy kongres wolnej myśli, budzący szerokie zainteresowanie w różnych krajach. Zjazdy wolnomyślicieli mają już swoją historyę, która datuje od r. 1882, to jest pierwszego kongresu w Londynie, następne odbyły się w Amsterdamie 1883 r., w Antwerpii 1885 r., w Londynie 1887 r., w Paryżu 1889 r., w Madrycie 1892 r., w Brukceli 1895 r., w Paryżu 1900 r., w Genewie 1902 r. i wreszcie, ostatni w roku zeszłym w Rzymie. Idea wolnej myśli istnieje od wieków, od 25-u lat jednak dla energiczniejszego jej krzewienia łączą się ludzie w kółka, grupy, stowarzyszenia, zakładają pisma, wydają książki, urządzają zjazdy krajowe i kongresy międzynarodowe. Pierwszymi bojownikami tego ruchu byli Büchner, Spencer, Cesar de Paepe, Renouvier, Moleschott, Vogt, Klementyna Royer i inni, a u nas kółko pozytywistów z Al. Świętochowskim na czele.

Przez długi jednak czas, niemal do ostatniego kongresu rzymskiego, „wolna myśl" była pojmowaną w ciasnym zakresie, była niejako przywilejem oligarchii wykształconych inteligentów, nosiła cechy arystokracyi umysłowej. Dopiero na zeszłorocznym kongresie, w którym przyjmowało udział sporo francuskich i włoskich społeczników, idea „wolnej myśli" rozszerzyła swe kręgi, wstąpiła na właściwe tory, stała się demokratyczną i społeczną.

Dla dokładniejszego zdania sobie z tego sprawy należy uprzytomnić sobie wnioski, przyjęte jednocześnie w Rzymie, mające być zasadniczymi na tegorocznym kongresie w Paryżu, a postawione przez znanego pedagoga, profesora Sorbony i doputowanego Buissona z dodatkiem profesora wydziału lekarskiego w Lyonie, deputowanego Augagneura:

I. Wolna myśl nie jest doktryną, lecz metodą: metodą swobodnego badania.

II. Wolna myśl wymaga, ażeby jej wyznawcy stanowczo odrzucili wszelki autorytet, dążący do narzucenia pewnych wierzeń.

III. Wolna myśl na miejsce ideału religijnego stawia ideał czysto ludzki, to jest bezgraniczne dążenie do prawdy przez wiedzę, do dobra przez moralność, do piękna przez sztukę. Gotową jest ona zawsze uzupełnić lub sprostować odkrycia wczorajsze przez zdobycze wiedzy jutrzejsze.

IV. Wolna myśl może i powinna podawać zasady życia jak dla jednostek tak i dla społeczeństw. Pragnie ona stosować prawa rozumu do samej organizacyi społecznej:

Najprzód przez zupełny rozdział kościoła od państwa i uczynienie świeckiemi zarówno państwa jak i wszystkich jego instytucyi; następnie, domagając się takich urządzeń, przy których każda istota ludzka mogłaby swobodnie używać praw jej przynależnych i spełniać swe obowiązki.

V. Wolna myśl dąży do zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej, jako jedynego racyonalnego środka do uregulowania stosunków pomiędzy ludźmi i pomiędzy ludami.

VI. Wszelkie przeto usiłowanie do wyzwolenia umysłowego i moralnego ludzkości jest racyonalnem i może być skutecznem wtedy jedynie, jeżeli przyczynia się do wyzwolenia ekonomicznego całego proletaryatu.

Słowem wolna myśl jest świecką, demokratyczną i społeczną.

Wolna myśl zrobiła więc ostatnimi czasy olbrzymie postępy. Kongres rzymski uznał jako *condition préalable* materyalne i ekonomiczne wyzwolenie klasy robotniczej. Od uczestników przyszłych kongresów, a przedewszystkiem tegorocznego paryskiego, zależeć będzie tę podstawę, zasadniczą myśl rozwinąć i nie dopuścić do jej zacieśnienia w stare formuły antiklerykalne lub nawet antireligijne. Można być pewnym, że większość uczestników paryskiego kongresu nie będzie sobie zdawała sprawy, czem jest owo nowożytne pojmowanie „myśli wolnej" i w jaki sposób pracować dla niej należy. Nawet sam komitet, urządzający kongres, prócz wice-prezesa Allemane'a, nauczycielki Bonnevial i sekretarza Chauvelon'a, nie ma jeszcze tak szerokiego horyzontu pojęć, jak wnioski Buisson'a i Doizie.

Program wrześniowego kongresu jest następujący:

I. Plan nowej encyklopedyi—projekt opracowany przez H. Denis'a, profesora Uniwersytetu Wolnego w Brukselli.

II. Moralność świecka.

a) Podstawy naukowe moralności; determinizm powszechny i człowiek; solidarność ludzka. Warunki szczęścia i postępu dla wszystkich.

b) Nauczanie moralności w szkołach.

c) Myśl wolna i sztuka.

III. Rozdział Kościoła od państwa, jego warunki i następstwa.

a) Zakładanie stowarzyszeń wolnomyślnych, mających na celu krzewienie pomiędzy ludem wiadomości naukowych i dostarczanie mu rozrywek artystycznych.

b) Prawo używalności gmachów, przeznaczonych obecnie na wykonywanie obrządków religijnych, dla stowarzyszeń świeckich, uniwersytetów ludowych, kooperatyw, związków zawodowych i t. p.

c) Dochody z dóbr kościelnych służyć mają wyłącznie na potrzeby wyznaniowe.

d) Wzbronienie nauczania osobom duchownym.

e) Zniesienie wszelkich zakonów.

IV. Organizacya narodowa i międzynarodowa propagandy wolnej myśli.

a) Federacye stowarzyszeń wolnomyślicieli w każdym kraju.

b) Zorganizowanie istotnej solidarności pomiędzy wolnomyślicielami wszystkich narodowości: żaden wolnomyśliciel nie powinien się znaleźć odosobniony, opuszczony.

c) Przeszkody stawiane przez kapitalizm rozwojowi myśli wolnej. Stosunek wolnomyślicieli do socyalizmu.

d) Organizacya prawa do pomocy publicznej. Nadanie charakteru świeckiego wszystkim instytucyom dobroczynnym, mającym charakter wyznaniowy lub religijny.

V. Myśl wolna i pokój. Stowarzyszenia pokojowe, rozbrojenie powszechne, sądy rozjemcze, propaganda pokojowa w szkole.

Po nadto w d. 3 września odbędzie się wielka manifestacya wolnej myśli ze współudziałem różnych stowarzyszeń politycznych, zawodowych współdzielczych, naukowych, artystycznych, wychowawczych, a na zakończenie obrad kongresu nastąpi uroczyste odsłonięcie pomnika de la Barre'a, jednego z licznych męczenników wolnej myśli, spalonego na stosie w r. 1766, w wieku lat 19.

Jak z powyższego programu widzimy, kwestya ekonomicznego wyzwolenia klas pracujących nie zaznaczona jest dość wyraźnie, jako zadanie wolnej myśli, chodziło jednak o to, aby nie zrazić burżuazyi, która dotychczas największych dostarczała zastępów na kongresach, niewątpliwie jednak wypłynie ona ponownie na miejsce pierwszorzędne.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Ciekawy proces.

Ciekawy proces opisuje niedzielny numer *Kur. Codz.* 18-stoletnia dziewczyna wiejska została wydana za 46-letniego pijaka, chorego na przeróżne, wstrętnie się przejawiające choroby. Po jedenastu latach katuszy ta kobieta, bita, poniewierana, męczona nie mogła dłużej wytrzymać, dosypała mężowi „proszku", i stary umarł. Skazano ją na 12 lat ciężkich robót, później karę przemieniono na $1\frac{1}{2}$ roku więzienia. Sprawiedliwości stało się zadość. „Prze-

stępstwo" zostało ukarane. Wydarzenie nie jest faktem odosobnionym, strasznym, lecz wypadkowym, jest to dramat typowy, związany ściśle z naszem życiem. Sfera odgrywa tu rolę zewnętrznej dekoracyi, treść wewnętrzna to przewaga warunków zewnętrznych nad całością życia jednostki. Formuły niezrozumiałe łączą dwie istoty ludzkie, wiążą je łańcuchem nierozerwalnym, formuły, których owa kobieta nie rozumiala pewnie, nie odczuwała. Zaprowadzono ją, wymówiono nad nią jakieś słowa i pozostawiono razem z owym pijakiem. We wsi zapewne szkoły niema, a za to często pojawia się przednówek; głód, ciągła praca zamienia ludzi w maszyny. Skoro które z nich chce odetchnąć szerzej, chce wyprostować pochylone ramiona i czuje, że krew mu bije do oczu, że dłużej nie wytrzyma, to wtedy następuje zbrodnia. Nie ma w sobie świadomości życia, nie wie, co się z niem dzieje, a czuje młodość i jakieś pragnienie, nie umie wyjść z sieci, która go krępuje i rwie się w niej, dosypując owych „proszków". Później go sądzą i skazują. A społeczeństwo idzie swoją drogą. *x.*

Szkoły na udziały.

Już nieraz miałem sposobność wykazywać błędne stawianie kwestyi przy omawianiu sprawy szkół prywatnych. Dotąd u nas zajmowano się ich wadami i zaletami, lecz nie poruszano zasadniczej strony tego zagadnienia, nie rozstrzygano pytania: czy szkoła, będąca przedsiębiorstwem finansowem, może odpowiadać wymaganiom, jakie jej stawiamy? Dziś dopiero nastąpił zwrot pożądany w opinii, i wysunięto na widownię szkołę udziałową. Jest to fakt znamienny i świadczący, że społeczeństwo poczyna poważnie myśleć o kwestyi szkolnictwa. Szkoła na udziały usuwa wewnętrzne tarcie interesów pedagogicznych z interesami materyalnymi i pozwala na pracę systematyczną, opartą na znajomości rzeczy i gorącem umiłowaniu swego zawodu. Sądzę, że system udziałowy jest najlepszym szkieletem mechanizmu administracyjno-finansowego zakładów naukowych. Oby się tylko nie skończyło na pięknym projekcie. *az.*

Niepotrzebne hałasy.

Znowu odgrzebano sprawę Związku Roboczego. Czy istotnie jest to sprawa tak ważna dla naszego społeczeństwa? Ot, istnieje jakaś spółka kupiecko-handlowa, w której dokonano przeróżnych niepięknych rzeczy. Prasa—zupełnie naturalnie zwróciła na to uwagę. Skoro jednak grono ludzi jasno i wyraźnie wypowiada postanowienie, że pragnie być oszukiwanem i brać udział w owych przedsięwzięciach ryzykownych, to sądzę, że należy przestać opiekować się i załamywać nad nimi ręce. Jeżeli Związek popełni obecnie jaki nowy czyn nieładny, to wtedy będziemy go demaskować, lecz ciągłe zajmowanie uwagi tem, że pan Krzeczkowski jest mało drażliwy, a jego podwładni nieco baranio-potulni, to rzecz zbyteczna i nudna. Co nas może obchodzić, czy pan Kronenberg wie coś o tych „kawałach". *r.*

Odwaga.

Przed paru tygodniami pisma codzienne opublikowały list w obronie pana Skawińskiego, wystosowany przez grono jakoby dbałych o prawdę i sprawiedliwość pracowników jego kantoru; do listu był dołączony dopisek dr. Pierwochy, miejscowego lekarza fabrycznego. W odpowiedzi na to inny lekarz nadesłał szczegółowo umotywowane sprostowanie, które potwierdzili listem swoim robotnicy. Na tem tle ciekawie zarysowała się postać lekarza fabrycznego, który, jak nieraz czytamy w organach warszawskich, jest wielkim przyjacielem—pracowników. Otóż ten pan wcale się nie powstydził bronić swego pryncypała wbrew prawdzie. Dziwny obraz „inteligenta". Jaskrawie się wypowiedział też pan dyrektor, który miał tyle—odwagi, żeby po całej, znanej historyi jeszcze chcieć występować jako opiekun robotników. Cała ta sprawa dlatego zasługuje na pamięć, że brutalność zwierzchnika wystąpiła tu w rzadki nawet w stosunkach naszych sposób, i że tak — otwarcie pracownicy jego kantoru i lekarz stanęli po jego stronie. *z.*

Gadania radykalne.

Od czasu, jak moda na miejsce pseudo-rozestetyzowania się wprowadziła pseudo-rozpolitykowanie się, powstała u nas przeróżnego kalibru gadanina radykalna. Przeróżni panowie i przeróżne panie opowiadają „okropnie" krwawe rzeczy, potępiają, chwalą. Potworzyły się kółka i kółeczka, kokietujące filistrów ponurą pozą i nieco przyblakłym frazesem. Skoro jednak życie zrobiło pewien zwrot, i gadanina jako taka poczęła wymagać pewnego „zaangażowania się" danych osobników, radykalizm kędyś się podział, a zastąpiło go poszukiwanie najbezpieczniejszego kącika. Zajawszy owe stanowisko strategiczne, owi panowie i owe panie znowu zaczęli młynkować. Tylko że powstały nowe teorye społeczne, nowe programy. Gadanina radykalna odżyła w nieco zmienionej formie. Coraz dalej odsuwano się od dawnego tła i coraz inne wyciągano „zabawki". Nadeszło lato — i zapewne z powodu wakacyi—społeczeństwo nasze będzie musiało czekać na zbawienie aż do jesieni. *t.*

Chłopcy kawiarniani.

Któreś z pism codziennych podało wiadomość o strajku chłopców w Nadświdrzańskiej. Nieraz już wykazywaliśmy ciężkie położenie tych dzieciaków: od wczesnego rana do późnej nocy, zależni od grubiańskich płatniczych, przechodzą oni w kawiarniach ciężką szkołę, niezbyt dodatnio wpływającą na kształtowanie się ich istoty. Bezwątpienia jest to wynikiem całokształtu dzisiejszego życia, lecz przecież i dzisiejsze prawodawstwo mówi o pracy nieletnich. Opinia publiczna powinna zmusić właścicieli zakładów cukierniczych do ograniczenia wyzysku i unormowania pracy dzieci. Tylko że nasza opinia nie lubi się fatygować i woli czule dać chłopcu dziesiątkę „na piwo". Jest to łatwiejsze i dla obu stron podobno milsze rozwiązanie kwestyi. *z.*

Widowiska katolickie.

Pisma codzienne doniosły o projekcie urządzenia widowisk dla ludu katolickiego. Istotnie, piękne poczynanie. Ów lud ma wszelkie potrzeby zapewnione, jest chroniony od głodu, chłodu, ciemnoty i nędzy, tylko go potrzeba kształcić w kierunku aktorskim. Pozjeżdżają się przeróżni dygnitarze świeccy i duchowni i będą oklaskiwać poczciwych kmiotków, odgrywających przeróżne misterya. Pewnego rodzaju przedstawienia miały już miejsce nieraz. Banderye, wspólne z panami ucztowanie i t. d. Toć to też rzeczy „reprezentacyjne". Tylko że owi kmiotkowie, szczególniej ci, którzy nie mają co jeść, poczynają odczuwać niechęć do widowisk, przekładając nad nie kawałek chleba. Ta demoralizacya idzie naturalnie z miasta—lecz może popsuć harmonię widowisk, jak popsuły je niedawno wołania o lepszą dolę. *gz.*

Pamiętajmy o sobie.

Chwila obecna przyniosła niejedną korzyść psychice naszego społeczeństwa; podniosła jego wrażliwość, obudziła drzemiące poczucie własnej godności, zapoczątkowała krystalizowanie się różniczkowania społecznego i t. p. W tym jednak pędzie, ciągnącym ku nowym projektom, planom, programom, nawet ludzie, którzy przedtem wyznawali pewne wyraźne credo, zapominają o tem, że w takich chwilach o ogólnych ideałach zapominać niewolno, że wyzyskać czas należy, lecz wyzyskać w imię ogólnego światopoglądu. Dawny ruch rozwija się coraz silniej, znajduje w chwili obecnej nowy etap ewolucyjny, wzmaga się w intensywność i wrasta w serca tych, którym niesie dobrą nowinę, a tymczasem, ci którzy razem szli, razem pracowali stają się sobie obcymi, i niejedno gorzkie słowo pada ze stron obu.

Nikt nie zapoznaje tego, że życie stawia dziś nowe zagadnienia, lecz właśnie dlatego, należy pamiętać o sobie, należy nie pozwolić wlec się położeniu, a panować nad niem w imię stałych, o granit opartych wychudłych piersi ideałów. Pamiętajmy, że zdobyć można wiele tylko wtedy, jeżeli się ma siłę za sobą i w samym sobie. Pamiętajmy o sobie, pamiętajmy o tym ideale, który przyświecał nam w dni ciężkie i dziś w chwili próby —przyświeca. *br.*

Kasa Emerytalna.

W zeszłym tygodniu rozeszła się pogłoska o bezrobociu przygotowywanem na kolei Warsz.-Wied.; jakkolwiek pogłoska się nie sprawdziła *War. Dn.* podaje następującą wiadomość, która rzuca niejakie światło na jej źródło:

„Wskutek usilnych żądań pracowników co do likwidacyi kasy emerytalnej i zwrotu wkładów, zarząd kolei warsz.-wied. wysłał do ministeryum komunikacyi następujący telegram: „Niezadowolenie pracowników na wszystkich liniach kolei warsz.-wied. z powodu kasy emerytalnej nietylko nie osłabło, lecz przeciwnie, wzmaga się coraz bardzie i przy pomocy rozrzucanych po całej linii proklamacyi dąży do nowego bezrobocia, jako do środka otrzymania wkładów emerytalnych. Wskutek powyższego konieczną jest jak najszybsza odpowiedź ministeryum na przedstawienie rady zarządu za Nr 16,430 w sprawie kasy emerytalnej".

Z powodu tej depeszy ministeryum wydelegowało do Warszawy rad. taj. Jastrzębskiego, który po przybyciu i rozpatrzeniu żądań, przedstawionych mu przez delegatów pracowników kolei Wiedeńskiej, oświadczył, że nie został upoważniony do decydowania w sprawie kasy emerytalnej, lecz tylko wysłany do zbadania opinii, panującej wsród jej członków. Sprawę likwidacyi kasy wikła ta okoliczność, że cały jej kapitał, wynoszący przeszło 6 milionów rubli, złożony jest w papierach publicznych, które rzucone na rynek obniżyłyby się w swej wartości. W dodatku likwidacya kasy kolei Warsz.-Wied. mogłaby stać się pobudką do likwidacyi podobnych kas innych kolei, przedstawiających kapitał dwustu kilkudziesięciu milionów rubli w papierach procentowych, a przeto wywołać przesilenie na rynkach. W końcu sierpnia zapowiedziany jest zjazd w Petersburgu, na którym ostatecznie ma być rozpatrzona działalność kas emerytalnych. Pracownicy kolei Wiedeńskiej domagają się podobno przekształcenia istniejącej kasy emerytalnej na kasę przezorności. *s.*

BADANIA NAUKOWE

O istocie zjawisk moralnych.

Treść moralności zwierząt i roślin stanowią te sposoby i środki, jakimi one rozporządzają dla ochrony siebie i swego potomstwa przed zagładą. W zakres tej moralności wchodzi zatem wzmacnianie siebie, osłabianie istot współzawodniczących, unikanie wpływów szkodliwych, niemogących być wprost pokonanymi, przystosowywanie się do niezwalczonych warunków bytu. Krócej mówiąc, moralność zwierząt i roślin jest to ich biologia, jest to ich ochronne oddziaływanie na swe otoczenie roślinne, zwierzęce i fizyograficzne, wśród którego zniewolone są bytować. Moralność człowieka należy do tej samej kategoryi zjawisk z tem jednak uzupełnieniem, że gdy dla roślin i zwierząt otaczająca je przyroda stanowi jedyne środowisko biologiczne, regulujące ich etykę, dla człowieka pojawia się środowisko społeczne, które z czasem staje się warunkiem biologicznym, ważniejszym w rozwoju etyki, niż otaczająca przyroda. To środowisko społeczne oddziaływa z większą przewagą i bezpośredniej na ukształtowanie etyki człowieka, niż przyroda.

Wprawdzie u niektórych owadów, u trawożernych, u ryb, ptaków pojawiają się stada i roje, lecz z powodu nizkiego rozwoju tych zwierząt, z powodu ich nizkiej inteligencyi te małe społeczeństwa zwierzęce, pod względem rozwojowym, są w zastoju, pozostają ciągle na jednym stopniu. To też etyka tych zwierząt jest zastosowana do pożycia stadowego i znajduje się także w zastoju. Nie pisząc socyologii, nie chcemy odbiegać od przedmiotu i nie będziemy tu kreślić w jaki sposób naturalny człowiek pierwotny mógł z odosobnionego, jaskiniowego trybu życia przejść do społecznego, który w późniejszej fazie rozwoju więcej, niż otaczająca go przyroda, oddziałał na jego rozwój fizyczny i moralny. Nadmienimy tylko, że społeczny tryb życia był dla niego wynalazkiem doniosłym, może przypadkowym, jak sporo wynalazków, co wcale znaczenia jego nie zmniejsza. Ponieważ wszystko, co się tyczy zachowania bytu i gatunku, należy do etyki, przeto społeczny tryb życia, do którego człowiek pierwotny doszedł empirycznie, można uważać za nader korzystny wynalazek z dziedziny ewolucyi, od chwili bowiem przejścia do społecznej formy walki o byt człowieka pierwotnego, zdobywanie łupu, obrona przed napaścią zwierza, ochrona potomstwa stały się łatwiejszemi. Walka z przyrodą, wyzysk jej sił, stały się możliwymi w licznych wypadkach. Lecz korzyści nie osiągają się darmo, stosunek jednostki do społeczeństwa opiera się na wzajemnym wyzysku, na zasadzie dawania, ażeby brać. Człowiek pierwotny musiał się zaprzeć swego bezwzględnego egoizmu zwierzęcego, ażeby umożliwić współistnienie swe z innymi, współżycie i współbiesiadnictwo członków społeczeństwa. Ta okoliczność nadaje etyce ludzkiej znamiona utylitarnego samozaparcia się, zaltruizowanego egoizmu. Odtąd pierwiastek egoizmu i altruizmu współistnieją w normalnej etyce ludzkiej.

Miarą siły węzłów społecznych, miarą społecznego i moralnego postępu, miarą cywilizacyi jest zakres i stopień skojarzenia interesu społecznego z interesem osobistym, moralna inteligencya wysila się w tym kierunku. W środowisku społecznem, w którem jednostka nie znajduje bezpieczeństwa życia, mienia, zarobku i rozpłodu tam zrywają się węzły społeczne, zrywa się solidarność jednostki ze społeczeństwem następuje nie synteza, lecz rozkład społeczny: jednostka i społeczeństwo uzbrajają się i pojedynkują ze sobą aż do ostatniego tchnienia. Ponury tragizm życia na tem polega i kończy się zwykle zagładą. Określiliśmy etykę jako zjawisko biologiczne, przedstawiliśmy zewnętrzne warunki jej rozwoju, środowisko społeczne i przyrodnicze, podkreśliliśmy abnegacyjno-utylitarną jej treść, pozostaje nam teraz jeszcze opowiędzieć jej dzieje.

Jakkolwiek doświadczenia przyrodników, czynione z pierwotniakami, zdają się upoważniać do przypuszczenia, że tym najniższym ustrojem zwierzęcym nie jest obcym świadomy afekt, uczucie i myśl, to jednak przyjęto naukowo, iż niższe ustroje są pozbawione świadomości aż do kręgowców i tych bezkręgowych, u których znajdujemy skupione ośrodki nerwowe w postaci masy gangłionowej. Ruchy celowe niższych organizmów sprowadzają się do chemotaxizmu i heliotaxizmu. Zwierzętom tego rodzaju właściwą jest wyłącznie etyka odruchu. Doskonałość tej etyki, t. j. jej wartość zachowawcza osobnika i jego gatunku będzie zależną od doskonałości ustroju, od stopnia doskonalszej celowości w budowie zmysłów i narządów życia roślinnego. Zwierzętom kręgowym i ganglionowym o doskonalszych, zcentralizowanych zmysłach, lecz słabej inteligencyi, właściwą jest — oprócz etyki odruchu — etyka instynktu, któremu towarzyszy świadomy afekt rozkoszy lub odrazy, podniesiony do potęgi kategorycznego imperatywu. U człowieka w zoologii t. z. „homo sapiens" oprócz etyki odruchów i instynktu zjawia się jeszcze etyka zasad wyrozumowanych. Ta grupa zjawisk przedstawia pośledniąkategoryę zjawisk etycznych, etykę w stadyum tworzenia i formowania się, etykę „in statu nascendi", mówiąc językiem chemii. Etyka wyrozumowanych zasad jest niezdecydowaną, oddaną na pastwę sofistyki i dyalektyki, taką, z którą dopiero się dokonywa dobór naturalny, który jedne zasady zachowa, inne przekształci, a jeszcze inne pogrzebie na wieki, jako wytwór afektów życiu nieprzyjaznych. Podstawą tego doboru naturalnego są: doświadczenie, empiryzm życiowy, instynkt samozachowawczy, będący tym nieomylnym taksatorem, cenzorem i wyborcą nieuformowanych zasad etycznych. Po ustaleniu się ich świadomych, rozumowych, na podstawie doboru naturalnego, mają one dążność do zautomatyzowania się, przeobrażenia w etykę instynktu z kategorycznym impulsem i imperatywem, a w następstwie w nieświadomy odruch etyczny. Taki jest przebieg każdej reakcyi organizmu, którą przez długi czas często wywołują podniety z zewnątrz.

Z punktu widzenia powyższej teoryi zjawisk etycznych etyka wyrozumowanych zasad budzi najmniej zaufania i jest w porównaniu z etyką instynktu pośledniejszą, mniej elementarną kategoryą zjawisk moralnych. Na tych kilku uwagach musimy ograniczyć nasz wykład historyi naturalnej tego, co nazywamy etyką. Sądzimy, że tłomaczy ona wszelkie różnobarwne fakta, dostarczone przez obyczaje, prawo kazuistyczne, przykazania religijne. Wszystkie te dane, jeżeli je będziemy rozpatrywali w związku z interesem życia jednostek lub grup społecznych i etnicznych, które je wytworzyły, potwierdzą naszą teoryę. Związek etyki z biologią, z życiem jest najściślejszy, gdyż jest ona jego uzewnętrznieniem, jego wykonaniem. Nie jest to zapewne przypadkowym zbiegiem okoliczności, że ażeby tworzyć prawo życia fizycznego trzeba umierać, jest to szczytne określenie stanowiska w dziedzinie moralnej.

W takiem pojmowaniu zjawisk moralnych znajdujemy miernik i probierz bytych i bieżących wyobrażeń etycznych. Tym probierzem jest utylitaryzm biologiczny. Bezwzględną zbrodnią jest „zbrodnia biologiczna" zmierzająca do tłumienia i unicestwiania życia. Jedynie to jest zbrodnią niekonwencyonalną, co tłumi życie i hamuje jego bujny rozkwit. Tym sposobem przesadny konserwatyzm czyli wstecznictwo, będący zaprzeczeniem przystosowanie, a tem samem zapowiedzią zagłady, jest jednym z objawów najbardziej niemoralnych. Cel utylitaryzmu życiowego, subjektywnie pojęty i nieprzenikliwie, niecelowo obmyślany, źle myślowo odczuty, znajdujemy w dzikich instynktach etycznych, zawsze uświęcanych przez religię. Zatem w dzieciobójstwie, w ludożerstwie, w sztucznem uniezdolnieniu do rozpłodu, świadczącem o kulturalnem ubóstwie praktykujących je szczepów.

Instytucye tego rodzaju, jak i wszelkie inne, o tyle są moralnemi, że nie wytrzymują krytyki bioutylitarnej. Obecnie panująca etyka z jej instytucyami prawnemi i politycznemi, z filozofią i religią, też nie wytrzymuje krytyki bioutylitarnej i przedstawia złagodzoną i mniej widoczną postać ludożerstwa. Znamiennym jej rysem jest to, że zmierza ona do tuczenia mniejszości, uprzywilejowanej w tej lub innej formie, pozbawionej przymiotów, kosztem większości i podtrzymuje ona wyzysk jedynych przez drugich, oparty na przymusie moralnym i fizycznym a nie na wolnem współzawodnictwie. Instytucye prawne, polityczne i religijne współdziałają solidarnie z tą etyką niemoralną. Przeciwstawia się ona wyższym formom moralności rewolucyjnej i uzbraja przeciw nim tak długo, dopóki tamta nie osiągnie nad nią przewagi. Zbrodnia prawna z punktu widzenia prokuratorskiego, może być moralniejszą z punktu widzenia bio-utylitarnego, niż samo prawo, które ona depce. Sprawiedliwość sędziowska jest trafnem zastosowaniem paragrafu, wyjętego z kodeksu karnego, a sprawiedliwość ludzka jest zaznaczeniem stanowiska interesownego: żadnej innej niepotrafiono stosować. Całe ubóstwo moralne dzisiejszej etyki uwidocznia się w tem, że dla zwalczania zbrodni, stosuje zbrodnię w postaci kary śmierci, bezczynności więziennej, tortur. Skoro etyka dzisiejsza jest konwencyonalną tylko, to zbrodnia jest także konwencyonalną. Etyka dzisiejsza gwałci instynkt samozachowawczo-rodzicielski człowieka i tym sposobem staje się źródłem zbrodni prawnych, przez siebie wymuszonych, nad któremi się znęca, jak matka wyrodna nad swem dzieckiem—to stanowi jej potworność i zbydlęcenie. Zbrodnia w tych okolicznościach staje się wstydem dla nas wszystkich, a zbrodniarz w nas wszystkich odnajduje współwinowajców. Zbrodniarza nie zabijać, karać lub torturować należy, lecz leczyć i unieszkodliwiać, jeśli można i prosić go o przebaczenie, że się go w tak tragiczny stan wtrąciło. Zważywszy to wszystko, pożytecznem jest rozpatrzyć następujące pytania:

Ile naszych cnót jeszcze nie nazywa się zbrodniami?

Ilu jest między nami cnotliwych zbrodniarzy?

Ilu jutrzejszych zbrodniarzy?

Ilu poczciwców z tchórzostwa, głupoty i gnuśności?

Ilu niedoszłych zbrodniarzy?

Przenikliwy Montaigne powiedział, że niema tak uczciwego człowieka, który sądzony podług ukrytych myśli swoich, nie zasługiwałby dziesięciokrotnie na szubienicę.

Pewien głośny psychiatra starał się pocieszyć pacyenta, uskarżającego się na przetrzymywanie go w zakładzie słowami: „do-

my dla obłąkanych są zbudowane po to, ażeby ludziom chodzącym po za niemi, mogło się wydawać, że są mądrymi". Parafrazując te taktowne słowa psychiatry, można z większą słusznością powiedzieć, że „więzienia buduje się w tym celu, ażeby ludziom w nich nieprzebywającym mogło się wydawać, że są lepszymi".

Aleksy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

Z MUZYKI.

„Pan Wojewoda", opera M. Rimskiego-Korsakowa.

Dyrekcya opery Warszawskiej kieruje się w wyborze nowości repertuarowych poglądami wielce oryginalnymi. Zwleka całe dziesiątki lat przygotowanie dzieł poważnych, uznanych i cenionych powszechnie, daje się wyprzedzać scenom prywatnym w wystawie nowości, ignoruje zawzięcie działalność niektórych szkół operowych, zapoznaje nas co jakiś czas z utworami chybionymi, które nie miały nigdzie powodzenia, nawet w kraju, z którego pochodzą.

Doświadczenie nabyte w ciągu lat ubiegłych, choćby ze względu na niejeden krok fałszywy i na niejedno rozczarowanie, powinnoby było wywrzeć jakiś wpływ na losy repertuaru operowego. Stało się jednak inaczej. Skutki ujemne wadliwego systemu nie wzbudziły jeszcze wiary we wnioski i spostrzeżenia, które osoby, obeznane ze sprawami teatralnemi (a w ich liczbie niejeden z artystów) powtarzają ustawicznie od lat wielu. Świeży dowód owej, podziw budzącej wytrwałości w poglądach, oraz olimpijskiego nieliczenia się z następstwami dało nam w ostatnim okresie sezonu wystawienie opery Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, p. t. „Pan Wojewoda", albowiem w okazałym przybytku artystycznym poważnego i bardzo korzystnie ocenionego kompozytora rosyjskiego, ta ostatnia jego praca sceniczna zajmuje stanowisko dość poślednie. Nie dorównywa innym znanym jego dziełom symfonicznym i teatralnym; nie doznała zbyt ciepłego przyjęcia w Petersburgu, gdzie pojawiła się na scenie po raz pierwszy przed kilkoma miesiącami.

Treść „Pana Wojewody", jak łatwo domyśleć się z tytułu, została osnuta na fabule (w samej rzeczy fantastycznie dramatycznej), rozgrywającej się w dawnej Polsce. I to był powód główny, któremu zawdzięczamy ukazanie się nowej opery w Teatrze Wielkim. Sądzono oczywiście, że sam widok polskich strojów narodowych z XVII wieku ujmie tak silnie naszych widzów, że skłoni ich do przeoczenia wszelkich wad i braków partycyi. A jedne i drugie są istotnie poważne.

Czy to z powodu chwilowego wyczerpania fantazyi, czy wskutek niedostatecznego przejęcia się duchem i charakterystyczną odrębnością odtwarzanego środowiska, a może pod wpływem równoczesnego działania obu tych przyczyn, natchnienie, ten najcenniejszy dar artystyczny, nie dopisało kompozytorowi. A nie dopisało najbardziej w tych motywach właśnie, w których jako wyraz uczucia, powinno ujawnić się dobitnie: mianowicie w tematach melodyjnych.

Główni bohaterowie miłosnej części dramatu, Bolesław i Marya, są tak bezbarwni i mało zajmujący, idylliczne swe uczucia wyrażają w sposób tak chłodny, działają z taką biernością bezkrwistą, że nie budzą najlżejszego współczucia swemi smutnemi przygodami. Choć treść jest mocno melodramatyczna, wina główna jednak spada na kompozytora, popierwsze za to, że takie wybrał czy przyjął libretto; następnie, że muzycznej ilustracyi owych postaci romantyczno-sentymentalnych, oraz ich uczuć miłosnych nie zdołał przyodziać w barwy ciepłe, ujmujące i efektowne.

Nie lepiej wyszła w motywach muzycznych Rimskiego-Korsakowa postać dorastającego a już zakochanego młodzieńca, Oleśnickiego. Śpiewa on wprawdzie słodką i czułę melodję (wzorowaną na nokturnach Chopina), ale po za tym jednym, odosobnionym momentem, stanowiącym punkt najjaśniejszy na szarem, monotonnem tle ogólnem dzieła, jego partya nie wysuwa się więcej na plan pierwszy łubo w akcyi przypadają mu nader ważne czynności do spełnienia. Bez udziału Oleśnickiego bowiem nie doszedłby dramat do swego tragicznego rozwiązania.

Ubóstwa liryzmu w „Panu Wojewodzie" nie okupuje autor ani jaskrawością, ani siłą akcentów dramatycznych. Są one jeszcze słabsze i mniej dosadne. Tytułowy bohater treści, pomimo grubo podkreślonych cech konwencyonalnego „czarnego charakteru", pozostawia nas zupełnie obojętnymi, zarówno kiedy grozi samowolą i popełnia nadużycia, jak w scenie końcowej, gdy dotknięty „palcem sprawiedliwości" pada rażony trucizną, przeznaczoną dla innej ofiary.

Przewrotna i ambitna wdowa, Jadwiga, usuwająca ludzi ze świata bez najmniejszego skrupułu (niby jakaś polska Lukrezia Borgia), nie ma też żadnej plastyki, ani wyodrębnienia indywidualnego w podkładzie muzycznym.

Nie posiada więc nowa opera Rimskiego-Korsakowa dosadności w uplastycznieniu uczuć; nie ma efektów kontrastowych, gdyż brak jej odpowiedniego materyału po temu.

Z tego powodu, pomimo pozorów nowoczesności w szacie zewnętrznej, „Pan Wojewoda" nie odpowiada pojęciu postępowego dramatu muzycznego w ścisłem znaczeniu tego określenia. Po za wspomnianymi usterkami chybionej charakterystyki, dramatyczna strona dzieła została bardzo upośledzona w jednym z ważniejszych swoich czynników: w deklamacyi. Osoby, występujące na scenie, nie prowadzą dyalogu według wymagań treści i ułożenia się sytuacyi. Przyspieszenie łub zwolnienie zdań deklamowanych, odpowiedzi na zapytanie, przerwy w toku rozmowy są ściśle i wyłącznie podporządkowane rozwojowi kombinacyi muzycznych. A ponieważ nieustannym przedmiotem trosk autora w tem dziele jest udatność szczegółów techniczno-kompozytorskich, przeto owe rozmowy bohaterów dramatu czynią najczęściej wrażenie czegoś obcego, sztucznie dopasowanego do tła orkiestrowego. Niejednokrotnie też znajdują się w rozdźwięku z nastrojem, który mają odtworzyć.

Tych wad poważnych nie zamaskuje pomysłowa i bogata instrumentacya, subtelne obrobienie szczegółów polifonicznych, ani cząstkowe posługiwanie się wypróbowanymi środkami doktrynery Wagnerowskiej.

Orkiestra przecież nie jest jedynym czynnikiem w widowisku teatralnem. Kompozytor, piszący dla sceny, powinien pamiętać także o głosie ludzkim, który pomimo mnożenia się różnych teoryj przewrotowych nie został dotychczas skazany na bezwzględny ostracyzm.

Rymski-Korsakow jest symfonistą z powołania. Jego fantazya twórcza budzi się najsilniej do czynu wobec obrazów, zawierających efekta perspektywicznej dekoracyjności. Takie epizody udały mu się też pomyślnie w „Panu Wojewodzie". Do najlepiej odmalowanych chwil partycyi zaliczyć można: tętent koni, fanfarę myśliwską, czary przed chatą pasiecznika, spokój nocy księżycowej, pochód weselny przy dźwiękach poloneza. Szkoda, że w stosunku do rozmiarów widowiska, trwającego cały wieczór, jest ich tak niewiele.

Bojomir.

SPRAWY EKONOMICZNE

MAŁOROLNI.

Podług danych, zebranych przez Komitet zjazdów przedstawicieli instytucyi rosyjskiego kredytu ziemskiego, ogłoszonych w roku bieżącym, ogólna ilość ziemi w Królestwie Polskiem wynosi: 11,087,201 dziesięcin. Z tej liczby, na własność prywatną przypada 10,110,016. Przestrzeń ta jest w ręku włościan, drobnej szlachty oraz właścicieli większych. Obszar posiadany przez pierwsze dwie kategorye, włączając w to grunta osad, obejmuje dziś z górą 53% ogólnej powierzchni kraju. Ten poważny stosunek własności drobnej, narzuca konieczność zainteresowania się jej przyszłością, bo od niej zależy przyszłość całego kraju.

Formowanie się własności drobnej, włościańskiej w Królestwie Polskiem, stało się możebnem dopiero od roku 1807 t. j. od czasu zniesienia poddaństwa. Oparty na kodeksie Napoleona, nasz kodeks w art. 8 głosi, że z praw cywilnych korzysta każdy Polak, poddany Królestwa Polskiego.

Mylnem więc jest przekonanie części naszego ogółu, że włościanie otrzymali prawo nabywania ziemi dopiero po reformie 1864 r. Prawo to posiadali oni wcześniej, nie mogli tylko z niego korzystać, nie posiadając ani środków do nabycia ziemi, ani warunków, niezbędnych do osiągnięcia tych środków.

Tem się objaśnia, że pomimo przysługującego im prawa, od 1807 do 1860 roku właścicieli włościan spotykamy w całem Królestwie nie więcej nad 2½ tysiąca.

Uwłaszczenie 1864 r. stworzyło około 592,817 zagród włościańskich, których liczba w ciągu lat 30 wzrosła o 124,240, czyli o 21%. Do tego trzeba dodać 65,546 gospodarstw włościańskich, nabytych drogą kupna z rąk większych i średnich właścicieli ziemskich. W obecnej więc chwili, w Królestwie Polskiem egzystuje 782,603 gospodarstwa włościańskie przy 11½ tysiącach majątków większych. Obszar własności drobnej powiększa się ciągle kosztem własności większej; gospodarstwa na gruntach nabytych od własności większej zajmują przestrzeń 983,600 morgów, a jeżeli dążenie to będzie się rozwijać dalej i trafi na warunki dogodniejsze, należy przypuszczać, że formą posiadanie ziemi w Królestwie Polskiem, w niedalekiej przyszłości, będą gospodarstwa drobne. Czy forma ta ostoi się długo, czy będzie ona typem stałym przyszłości, przesądzać trudno, w każdym razie dziś powinniśmy się rachować z faktami i wnioski swoje na nich opierać.

Warunki gospodarstwa rolnego w naszym kraju są dziś ciężkie: brak oświaty, a co za tem idzie, nizka kultura ziemi wpływa na jej małą wydajność; procenta od przeciążających własność ziemską długów, wysokie podatki, przewyższające nieraz dziesięciokrotnie podatki w guberniach Cesarstwa, wyciągają z gospodarstwa wszelki zapas gotówki i pchają właścicieli w objęcia lichwiarzy. Ogólny stan ekonomiczny kraju, brak gotówki, obawa tych, co ją posiadają, przed wszelkiem ryzykiem, usuwają od gospodarstwa elementy energiczniejsze i zamożniejsze, uniemożliwiając poprawę obecnego położenia. Konkurenkcya zboża zamorskiego i rosyjskiego z powodu tańszej produkcyi na obszarach stepowych i taryf kolejowych trzyma ceny zboża na stopie, odbierającej nadzieję wydobycia się naszego rolnika z ciężkiego położenia. Kierunek rządu, który widzi przyszłość kraju w popieraniu jedynie przemysłu, pozbawia rolników możności korzystania z taniego kredytu instytucyj państwowych. Trudność a często niepodobieństwo tworzenia spółek rolnych obezwładnia rolników i prowadzi do upadku ich własności. Zwiększania się więc własności drobnej nie należy objaśniać jej kwitnącym stanem,—rozszerza się ona dzięki dwom warunkom: z jednej strony nabywaniem ziemi bez pieniędzy przy pomocy banku włościańskiego, z drugiej większą odpornością, niż własność większa. Właściciel folwarku, czy dominium musi utrzymać siebie, opłacić ciężary, wyżywić i opłacić robotnika. Właściciel zagrody, żywi siebie, opłaca ciężary, a całą swą pracę wkłada darmo, a raczej oddaje ją swej ziemi za własne wyżywienie, a jeżeli to mu nie wystarcza, resztę tej pracy niesie na rynek i sprzedaje większemu posiadaczowi, czyli że praca, za którą większy właściciel płaci, mniejszemu przynosi dochód. Dochód to marny, ale z niego jest on w możności wypaść przez lato konia i krowę, zebrać trochę siana na zimę i jeszcze mieć kilka rubli na podatki. Dzięki tej pracy darmowej, nizkiemu poziomowi swoich potrzeb, obywaniu się prawie bez ubrania, obuwia i jedzenia, mięsa zwykle a chleba na przednówku, masa włościan utrzymuje się jeszcze przy ziemi, której wreszcie wyzbyć się nie może, bo nikt inny niema prawa jej nabyć. Ta masa włościańska, te miliony małorolnych i bezrolnych, to obywatele kraju, to ludzie, którzy myślą, czują i marzą o lepszej przyszłości. Sami zdobyć jej nie mogą, bo nie mają siły umysłowej a fizycznej swej potęgi jeszcze nie znają. Normalny rozwój kraju wymaga, aby marzenia ich spełniły się drogą ewolucyi, ażeby prawa do życia mogli oni zdobyć drogą oświaty i rozwoju kulturalnego, a jedno i drugie nie da się osiągnąć bez podniesienia ich dobrobytu. Dziś niedobory w potrzebach swoich parobek pokrywa kradzieżą, małorolny szkodnictwem w polu i lesie, obaj wreszcie emigrują po zarobki do obcych krajów. Własność większa trudzi się nad obmyśleniem praw, mogących ją zabezpieczyć, stara się wyjednać pozwolenie na organizacyę straży polowej, urządza straż leśną. Wszystkie te środki nie zapobiegną nadużyciom; prawo natury w walce z prawem społecznem zawsze będzie miało przewagę. Człowiek, działając pod grozą głodu i nędzy, będzie zawsze odważnym wobec wszelkich straży. Aby usunąć zło, trzeba usunąć jego przyczynę.

W jednym z ostatnich numerów *Prawdy* mówiłem o stworzeniu banku kolonizacyjnego i kredytowego, któreby przyszły z pomocą najniezbędniejszym potrzebom włościan w obecnej chwili. Jeżeli poruszam sprawę włościan, to dla tego, że społeczeństwo nasze, troszcząc się o potrzeby własności większej i klas pracujących w mieście, mało dotychczas zwracało uwagi na potrzeby pracującej ludności wiejskiej. Towarzystwa kredytowe miejskie i wiejskie, pożyczkowo-oszczędnościowe, wzajemnego kredytu, kasy przemysłowe, posagowe, pogrzebowe i t. d. działają w celu zaradzenia potrzebom mniej licznej ale zabiegliwszej, ludności miejskiej lub szlacheckiej. Włościanie nasi posiadają dwie zaledwie instytucye kredytowe: kasy gminne i bank włościański, stworzone dla ich interesów, ale bez znajomości ich potrzeb i bez kontroli ze strony zainteresowanych. Obie te instytucye w dzisiejszym swoim stanie nie odpowiadają i nie wystarczają potrzebom ludności włościańskiej. Wielka i średnia własność ziemska, stanowiąc 40,6% ogólnej przestrzeni krajowej, korzysta z kredytu w Tow. Kredyt. Ziem. w ilości 139,961,155 rb. Tow. Kredyt. miejs. udzieliły pożyczek właścicielom domów do r. 1904 — 124,169,800 rb. Kredyt handlowy w banku państwa wynosił około 50 milionów, w bankach handlowych akcyjnych i domach bankowych 150 milionów, kredyt współdzielczy 50 milionów. Włościanie, posiadający około 53% ogólnej przestrzeni ziemi, stanowiący znacznie większą część ludności krajowej, korzystali z 34,798,888 rb. kredytu w banku włościańskim i 18,938,920 rb. w kasach gminnych. Upośledzenie ludności włościańskiej, pod względem ilościowym kredytu, jest widocznem, ale i jakość tego kredytu nie odpowiada jej potrzebom. Mając zabezpieczoną możność nabywania ziemi przy pomocy banku, gospodarz małorolny niema kredytu na zagospodarowanie, przetrzymanie lat nieurodzaju, spłatę długów lichwiarskich, sprowadzanie maszyn, narzędzi rolniczych, sztucznych nawozów i odpowiednich reproduktorów. Obecnie kasy gminne potrzeb tych zaspokoić nie mogą.

Kasy gminne są instytucyami do pewnego stopnia martwemi. Przyczyną tego jest krótkoterminowość pożyczek. Włościanin, który weźmie maximum pożyczki t. j. 200 rb. na rok, czyli na najdłuższy termin, rzadko kiedy jest w możności pożyczkę tę spłacić; przy odpowiednich staraniach i stosunkach, może ją przedłużyć jeszcze na sześć miesięcy, poczem grozi mu przymusowe wywłaszczenie. Aby tego uniknąć, prosi albo godzi za pewien procent którego z nieobdłużonych sąsiadów o wzięcie pożyczki z kasy gminnej na zapłacenie poprzedniej. W ten sposób uwalnia się od starego długu, bierze nową pożyczkę i spłaca swego chwilowego wierzyciela. Większa tedy część pożyczek spoczywa w ręku jednych i tych samych jednostek, najczęściej ich krewnych, którzy stoją blizko kasy, niekoniecznie potrzebujących, bo zamożniejszych, gdyż biednemu większy kredyt udzielanym bywa rzadko. Ci zamożniejsi często pieniędzmi pożyczonymi w kasie gminnej obracają między ludnością biedniejszą, korzystając z lichwiarskich procentów. System krótkoterminowy kas gminnych, jest niedogodnym z dwóch względów: o jednym mówiłem, wskazując koszta i trudności, towarzyszące odnowieniu pożyczki, drugi wypływa z pierwszego. Aby uniknąć kosztów, ci którzy są lepiej znani wójtowi urządzają się tak: w księgach wykreśla się dziś pożyczka, jako zapłacona, a za miesiąc zgodnie z ustawą, wpisuje się ją, jako nowo zaciągniętą. Często wójt zapisuje, że wydał pożyczkę gospodarzowi B a wykreśla pożyczkę gospodarza A; po miesiącu wpisuje ją znowu na imię gospodarza A, wykreślając zaciągniętą na imię gospodarza B. Robi się to na papierze, nie ruszając pieniędzy. Wszystkie te manipulacye pociągają za sobą masę omyłek, a często w razie śmierci wójta, pisarza lub kasyera, w razie niespodziewanej rewizyi lub nieprzeniesienia tej manipulacyi do wszystkich ksiąg odrazu, pociągają najniewinniej gminnych urzędników do odpowiedzialności sądowej. Nieumiejących wytłomaczyć tego procesu, zresztą nieprawego, sąd skazuje na lata więzienia lub rot aresztanckich.

Stworzenie zdrowej, prawidłowo funkcyonującej instytucyi kredytowej dla włościan, jest zatem rzeczą konieczną. Za wzór takiej instytucyi mogłyby służyć kasy Rejfeisenowskie w Niemczech.

(d. n.)

St. Staniszewski.

Życie publiczne w Rosyi.

Mosk. Wied. zamieściły bardzo znamienny artykuł:

„Ferment rewolucyjny, nie mając nigdzie przeszkód, stworzył na tyłach armii (w całej Rosyi azyatyckiej i europejskiej) olbrzymie ognisko wrzenia, rozpostartego nietylko na komunikacyjnych liniach wojsk naszych, ale na samej wojskowości. Aż do pozycyi przednich zasypywane one są kartaczami podburzających proklamacyi rewolucyjnych, zachęcających do porzucania broni, wobec również zabójczych, ale nietyle podłych pocisków japońskich. Temu położeniu haniebnemu, niesłychanemu w historyi, dawno już należałoby położyć kres. Już nie po raz pierwszy dowodzimy, że do tego prowadzi tylko jedna droga, jeden środek—*dyktatura wojenna.* W obecnej chwili, kiedy po rozbiciu eskadry adm. Rożestwienskiego, odrazu wzmógł się ruch rewolucyjny w Rosyi—dyktatura taka jest nieodzowną. O pokoju w danych warunkach rozumie się nie może być mowy. Powinniśmy prowadzić wojnę pięć, dziesięć, a jeżeli trzeba, to nawet dwadzieścia i trzydzieści lat, w każdym razie dopóty, dopóki Japonia niczem już grozić nam nie będzie mogła.

Powinniśmy złożyć w ofierze wszystko dla obrony dobrego imienia, uczciwej sławy i nietykalności swojej matki — Rosyi prawosławnej".

„Honor Rosyi! — woła z tego powodu Golcew w *Rusk. Wiedomostiach* — Jak śmią mówić o nim ci panowie, którzy otrzymują skarbowe subsydya i ogłoszenia! Oczy nam ślepną od łez i bólu, od wstydu, a ci „prawdziwi rosyjscy ludzie" pragną „wojować", t. j. posyłać na rzeź obcych im braci i synów!

Nie chcemy poniżającego pokoju dla drogiej nam ojczyzny, ale żądamy przerwania wojny, której sensu i celu nie rozumiemy".

Z powodu powyższego wystąpienia w *Mosk. Wied.*, zabiera głos także *Now. Wremia*:

„*Mosk. Wiedom.* do tego stopnia straciły głowę pod wrażeniem zniszczenia floty w cieśninie Koreańskiej, że wystąpiły z propozycyą *dyktatury wojennej.* Celem tej dyktatury jest walka z „rewolucyą wewnętrzną", a zatem siła rządowa, działająca w porządku ustanowionym, jest uznana za niedostateczną, lub niezdatną do tego celu.

Ale na czem polega różnica pomiędzy rządem obecnym, a proponowaną dyktaturą wojenną? Gazeta uchyla się od prostej odpowiedzi, ale tylko pośrednio powołuje się na doświadczenie historyczne starego Rzymu i daje tem poznać, co mianowicie ma na myśli proponując dyktaturę! „W ciężkich chwilach naród rzymski przerywał działalność praw cywilnych — *inter arma silens leges* — i powierzał całą władzę państwową dyktatorowi z prawami nieograniczonemi, aż do czasu zgniecenia wroga i powrotu państwa do życia pokojowego, tudzież do zwykłego porządku prawnego".

Musimy zarzucić gazecie moskiewskiej, zanadto powierzchowną znajomość history dyktatury rzymskiej. Czyż jest cokolwiek wspólnego pomiędzy naszym obecnym ustrojem państwowym a tym, przy którym byli możliwi dyktatorowie? Przypominamy gazecie, że w

Rzymie, po śmierci Juljusza Cezara, dyktatura była zniesiona raz na zawsze. Gdyby, według recepty *Mosk. Wiedom.*, całą władzę państwową oddano dyktatorowi, z nieograniczonem pełnomocnictwem, to cóżby pozostało Monarsze, do którego obecnie w całej pełni należy władza?"

Dzienniki rosyjskie zamieszczają list otwarty L. Pantielejewa na temat: Czy prowadzić dalej wojnę? W liście tym czytamy: „Na wypadek nowej klęski naszej armii w Mandżuryi lub też zasadniczej zmiany planu dalszego jej prowadzenia, jeżeli postanowiono kontynuować ją do ostatka, nie może być mowy o cofaniu się do kraju Amurskiego.

Tam nietylko armia, licząca kilkaset tysięcy ludzi, ale nawet korpus 50 tysięczny skazanyby był na nieuniknioną zgubę z powodu niepodobieństwa zaprowiantowania i bezustannego dowozu zasobów wojennych.

Zasoby kraju tego bardzo szczupłe i w normalnych warunkach uzupełniane za pomocą dowozu z Mandżuryi, przez czas wojny zupełnie się wyczerpały; a komunikacya z krajem Zabajkalskim na przestrzeni około 1200 wiorst od Błagowieszczeńska, jest tylko po Amurze i Szilce. Żegluga trwa conajmniej przez cztery miesiące i to z częstemi przerwami, z przyczyny braku wody.

W pozostałej części roku (z wyjątkiem bezdroży, od połowy września do grudnia i od połowy marca do maja) istnieje tylko komunikacya sanną po Amurze, gdzie wzdłuż naszego brzegu mieszka ludność bardzo nieliczna, która żywi się dowozem z kraju Zabajkalskiego.

Otóż, gdy niemożliwem było trzymać się w kraju Amurskim, armia tam się znajdująca nieodzownie dostać się musi do niewoli, jeżeli tylko nie zginie; gdyż odwrotu dokonać niema dokąd: na północy i zachodzie—pustynie, nieprzebyte dla armii.

Tym sposobem odwrót armii naszej w Mandżuryi może być dokonanym jedynie na zachód wzdłuż kolei żelaznej do kraju Zabajkalskiego. A wówczas cały kraj Amurski będzie stracony.

Czy taka perspektywa może być celem dalszego prowadzenia wojny? Jeżeli nie, to albo pokój, albo teatrem wojny musi pozostawać Mandżurya".

S. Pet. Wied. otrzymały następującą depeszę z Tyflisu: „W Nachiczewaniu, dzięki nadesłanym posiłkom, zapanował większy spokój. W niektórych miejscowościach rzeź trwa dalej. Kurdowie z Persyi przeszli przez granicę i wespół z Tatarami zagrażają kolei i komorze. Drogi zajęte są przez Tatarów. Komunikacya pomiędzy Erywaniem i Nachiczewaniem prawie przerwana. Z obwodu Batumskiego przesyłają wojska. Grupa 80 Ormian, zdolnych do ofiar, widząc położenie współwyznawców, uzbroiła się i wyjechała na wieś w ich obronie. W wielu miejscach grupa ta rozproszyła Tatarów burzycieli i zadała im cios dotkliwy. Grupa ta napadła na Tatarów i Kurdów, kiedy ci rabowali klasztor Karawajg, część rabusiów zginęła i relikwie święte zostały odebrane.

Adwokat przysięgły Arutiunow przysłał do pism rosyjskich telegram treści następującej:

Uzbrojone bandy Tatarów bezkarnie burzą bezbronne wsi ormiańskie. Tatarzy burzą kościoły i klasztory, bezczeszczą świątynie chrześciańskie; tu i owdzie usiłują za pomocą tortur zmusić Ormian do przyjęcia wiary muzułmańskiej. Jest obawa, że ruch ten może ogarnąć cały kraj zakaukazki. Kursują zatrważające pogłoski, że 10,000 Tatarów perskich ma zamiar przekroczyć granicę i zburzyć wsie ormiańskie w powiatach: Kuszyńskim, Ewinżyrskim i innych. Ludność jest przekonana, że wystarczy stanowcze postępowanie władzy wojskowej i natychmiastowe ukaranie przywódców, aby stłumić te okrucieństwa.

Z powodu rozpowszechnianych w Baku pogłosek o przyszłych rozruchach, gen.-gubernator Amiłachwari wydał obwieszczenie w którem mówi, że wpływowe osoby, którym on wierzy, ręczą mu, że porządek w mieście będzie zachowany. W razie zaś, gdyby pewna część ludności usiłowała wywołać rozruchy, niech to nikogo nie trwoży—wszelkie takie usiłowanie będzie stłumione bez żadnej pobłażliwości, wszelkiemi środkami, jakiemi gen.-gubernator rozporządza.

Czytamy w *Rus. Słow.* Policyi udało się wykryć w Baku całą fabrykę bomb. Na ulicy Telefonowej, naprzeciwko szkoły Michajłowskiej, znajduje się skład drzewa. W głębi dużego podwórza, zajmowanego przez ten skład, stoi jednopiętrowa budowla. Okazało się, że budynek ten mieścił warsztat do odlewania bomb. W chwili nadejścia policyi robota szła na dobre.

Znaleziono blizko 200 bomb, już zupełnie odlanych. Ładowanie bomb obywało się prawdopodobnie gdzieindziej. Pracujących w odlewni trzech ludzi aresztowano, bomby zaś odesłano do zarządu żandarmskiego.

Biuro statystyczne zarządu miejskiego w Baku podało cyfrę poszkodowanych podczas rzezi w lutym roku bieżącego. Zamordowano 372 osoby, z nich 24 kobiety. Podług narodowości zamordowano: Ormjan — 218, Tatarów—126, Rosyan — 22, Gruzinów — 3 i osób innych narodowości 3.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Zaburzenia włościańskie w powiecie bracławskim, guberni Podolskiej, przybierają charakter coraz poważniejszy. Chłopi napadają na dwory a zrabowane rzeczy następnie sprzedają.

— Stow. „achtesów". które w ostatnich czasach reguluje, że tak powiem, życie społeczne żydów, uprzedziło wszystkich sutenerów, że prześladować ich będzie. jeśli nie zaprzestaną uprawiać swego ohydnego rzemiosła. Na skutek takiej groźby, wielu sutenerów opuściło Łódź i przeniosło się do Zgierza i do Pabjanic, skąd jednak nadal kierują swemi interesami w Łodzi. („Kur. Codzienny")

— Według informacyi „Rusi" do nowej organizacyi „Związek związków" weszły następujące związki: 1) kolejowy, 2) związek lekarzy, 3) ziemskich konstytucyonalistów, 4) równouprawnienie kobiet, 5) inżynierów, 6) akademicki, 7) adwokatów, 8) pracowników biurowych, 9) nauczycieli szkół ludowych, 10) nauczycieli szkół średnich, 11) farmaceutów, 12) żydowski, 13) dziennikarzy, 14) agronomów i statystyków, 15) związek weterynarzy.

— „Fraind" donosi: „W petersburskiej synagodze głównej wywieszono uwiadomienie, że nie wolno wygłaszać żadnych mów z kazalnicy synagogialnej.

— Wśród włościan gub. Ekaterynosławskiej powstało groźne wrzenie przeciw miejscowym kolonistom-Niemcom. Upowszechnia się myśl odebrania im przemocą ziemi. Koloniści odwołują się o opiekę do władz.

— „Rus. Sł." podaje z Warszawy: Ujawniono tutaj, że zaginęły protokuły kom. złożonej z lekarzów, przedstawicieli władz i społeczeństwa, utworzonej przez b. gen.-gubernatora Czertkowa dla opracowania, stosownie do okólnika departamentu lekarskiego, nowych przepisów, dotyczących nadzoru nad prostytucyą w Warszawie. Protokuły, po ukończeniu prac komisyi, złożone zostały przewodniczącemu jej b. oberpolicmajstrowi Nolckenowi. Za jego rządów jednakże sprawa ta nie została załatwiona, przeciwnie liczba lupanarów z ogromną szybkością wzrosła. Ostatnie rozruchy, którym towarzyszył pogrom lupanarów, na nowo wysunęły na porządek dzienny sprawę reformy nadzoru nad prostytucyą. Członkowie komisyi otrzymali z kancelaryi oberpolicmajstra wezwanie, aby wobec zaginęcia protokułów, przyczynili się do ich przywrócenia, na co potrzeba będzie nowych i długich prac.

— W Budapeszcie w d. 11 do 16 września roku bieżącego odbędzie się kongres w sprawie zwalczania alkoholizmu. Polakom udziela wyjaśnień pełnomocnik kongresu dla ziem polskich dr. A. Wróblewski, Kraków, Sławkowska 24.

Wiadomości urzędowe. Senat rządzący wyjaśnił, że prawo nie zawiera nigdzie postanowień, nadających policyi moc zakazywania czytania Pisma Świętego na zebraniach prywatnych.

— Do rady ministrów, do udziału w posiedzeniach, na których rozpatrywany jest opracowany przez komisyę Bułygina projekt przedstawicielstwa narodowego, zaproszony został generał-gubernator petersburski, towarzysz ministra spraw wewnętrznych, D. T. Trepow.

— Dzienniki rosyjskie notują pogłoskę, pochodzącą, jak zapewniają z kompetentnego źródła, że minister oświaty generał-lejtnant Głazow opuszcza swe stanowisko i ma zostać członkiem rady państwa. Jako domniemanego jego następcę „Birż. Wied." wymieniają akademika w wydziale języka i literatury rosyjskiej rz. r. st. Ant. Siem. Budiłowicza.

Sprawy szkolne. „Now. Wrem." donosi. że ministeryum oświaty wysłało do niektórych profesorów uniwersytetu berlińskiego zaproszenia, ażeby przybyli do Petersburga, celem objęcia katedr. Profesorowie postanowili odmówić zaproszeniu ministra oświaty.

— Na ostatniem posiedzeniu korporacyi docentów prywatnych wydziału medycznego—czytamy w „Rus. Słow."—członków oddziału moskiewskiego, wszechrosyjskiego związku profesorów i nauczycieli, odbytem w dn. 5 czerwca, postanowiono nie obsadzać stanowisk, które mogą zawakować po profesorach wskutek zastosowania do tych ostatnich postanowienia rady ministrów z dn. 27 kwietnia.

— Rektorem uniwersytetu jagiellońskiego na przyszły rok szkolny został ks. Stefan Pawlicki, rodem gdańszczanin.

— Dziekani uniwersytetu petersburskiego podali się do dymisyi z powodu niezadowolenia wyrażonego im przez ministra oświaty za to, że odmówili swego udziału w rozpoznawaniu sprawy zebrań studenckich.

Hygiena i zdrowie. W laboratoryum bakterjologicznem d-ra Serkowskiego w Łodzi dokonano szczepień surowicy przeciwcholerycznej na kilkudziesięciu lekarzach i studentach nietylko miejscowych, ale i przybyłych z różnych miejscowości kraju.

— W dn. 18 b. m. otwarte będzie w Częstochowie pierwsze w kraju muzeum hygieniczne.

Prasa. Z powodu „zupełnego wyczerpania funduszów" *Gazeta Warszawska*, istniejąca od lat 132, została zawieszona.

— Pan Korwin-Milewski otrzymał pozwolenie na wydawanie w Wilnie pisma codziennego w języku polskim.

— Redakcya rosyjskiego dziennika „Zapad. Gołos", wychodzącego w Warszawie od roku zeszłego zawiadomiła czytelników, że wydawnictwo zawiesza na czas nieograniczony.

Wiadomości ekonomiczne. Dowiadujemy się z „War. Dn.", że ma być podwyższona akcyza od wyższych gatunków tytoniu. Mówią również o nałożeniu akcyzy na herbatę, zaczynając od ceny 2 rubli za funt.

— Według sprawozdań, nadesłanych przez oddziały banku włościańskiego, wydano włościanom w Królestwie Polskim 561 pożyczek na kupno 42,268 dziesięcin ziemi wartości 8,516,131 rb., na co otrzymali oni pożyczki w sumie 61,34,340 rb., dopłacili zaś 2,381,741 rb.

— Większe firmy szewckie w Warszawie zawarły umowę, na mocy której zaprzestają współzawodnictwa. Każdy właściciel oświadcza, jaki towar będzie wyrabiał i obowiązuje się sprzedawać po cenie naznaczonej przez syndykat.

— Ustawa emerytalna urzędników cywilnych i wojskowych ma podobno uledz rewizyi w celach opodatkowania emerytur przenoszących 400 rb.

Strajki. W Kaliszu zastrajkowali stelmachy i kowale. Dotychczas pracowali oni 15 godzin dziennie, zarabiając 5 rub. tygodniowo. Żądają zmniejszenia

dnia roboczego do 13 godzin i podwyższenia płacy o 25 kop. od rubla.

— W Petersburgu zauważyć się daje śród robotników nowy ruch strajkowy. Zarząd fabryki wagonów wydalił wszystkich robotników w liczbie 3,500, którzy przez kilka dni samowolnie o jedną godzinę skrócili dzień roboczy, a na wezwanie do powrotu odpowiedzieli zaprzestaniem pracy. W innych fabrykach również dają się zauważyć te same objawy.

— W fabryce Szeiblera w Łodzi rozlepiono ogłoszenie, zawiadamiające robotników o następujących warunkach: 1) robotnicy nie będą żądali podniesienia płacy; 2) muszą przeprosić majstrów i dyrektorów, których usunęli przemocą z fabryk; 3) robotnicy wszystkich oddziałów mają jednozgodnie przystąpić do pracy. O tem wszystkiem powinni robotnicy zawiadomić administracyę fabryczną za pośrednictwem delegata z każdego oddziału.

— W Westfalii wybuchło bezrobocie mularzy, które objęło 30000 ludzi przeszło. Żądają oni 55 fenigów za godzinę; przedsiebiorcy, którzy dotąd płacili 50 fenig., dają tylko 52 fenig.

Poczta i telegraf. Dla przyspieszenia wymiany telegramów pomiędzy Petersburgiem, Moskwą, Warszawą i innemi dużemi miastami zaprowadzono w charakterze próby nowe aparaty francuskiego wynalazku, Bodo, umożliwiające przesyłanie po jednym drucie 4-7 depesz.

Koleje i komunikacye. Zarząd warszawskiego okręgu komunikacyi jeszcze w ciągu tego lata przystąpi do dalszych robót przy oczyszczaniu kanału Augustowskiego, celem ułatwienia po nim spławu.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych: p. Teodozya Dębska rb. 5.

Do uznania redakcyi „Prawdy" p. Sokołowski z Sieprawek rb. 30.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 2 Іюня 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.